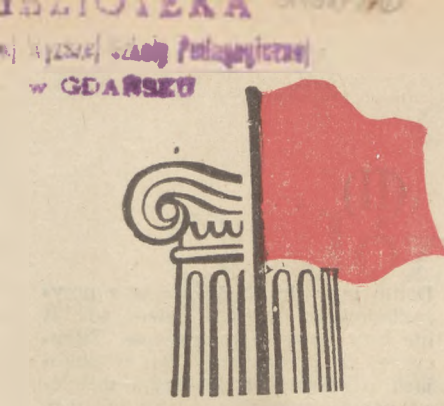




JERZY POMIANOWSKI

Z paryskiej widowni

Zdoświadczeń, jakich przysporzył Międzynarodowy Festiwal Dramatu, wynika, że teatry biorące w nim udział podzieliły się na dwie wyraźne grupy. Pierwsze — potwierdziły jedynie obecność kulturalną swojego narodu, to, co Francuzi nazywają „présence”. Oplywowe to słówko służy prawicowym politykom i dziennikarzom za pociechę przy określaniu dzisiejszego francuskiego stanu posiadania np. w południowym Wietnamie. Termin ten pomaga, być może, w ratowaniu twarzy. Druga grupa teatrów dała w Paryżu nie tylko dowód owej „présence”, lecz przede wszystkim — postępek, aktywności, krótko mówiąc twórczości narodu w dziedzinie kultury. Stwierdzić trzeba, że zaliczają się do niej również niektóre francuskie teatry, przede wszystkim Theatre National Populaire kierowany przez Vilara, nie biorący wreszcie udziału w tegorocznym festiwalu. Z teatrów, które zjechały do Paryża, wyodrębnić w tym sensie trzeba, jak to już ogólnie wiadomo, „Berliner Ensemble” Bertolda Brechta z NRD, zespół teatralny z Chin Ludowych i Workshop Theatre z robotniczego przedmieścia Londynu. Niestety, nie dowiedliśmy w tym roku, że polski teatr należy do tej grupy.

Znaczenie festiwalu paryskiego trudno pomniejszyć. Jest to największa po wojnie, a właściwie pierwsza w takim rodzaju i zasięgu konfrontacja najzwyczajniejszych teatrów światowych. Czy tylko teatrów? Sala teatru Sarah Bernhardt czy teatru Hebertot była przez dwa miesiące czymś w rodzaju skali termometru, na której próbowano odczytać temperaturę życia kuł'ralnego kraju, skąd teatr przybył. Gdyby z tegorocznych występów polskich ktoś pragnął wyrobić sobie pojęcie o charakterze i nateńżeniu naszego życia teatralnego, smutnego dla nas złudzenia. Skala była w Paryżu, ale termometr jest przecież w kraju. Najlepsze co można przypuścić, to — że tym razem wetknęto termometr nie tam gdzie należy. W każdym razie — nie pod właściwą pachę.

W ostatnim, (15) numerze dwutygodnika „Teatr” znalazłem artykuł Edwarda Csato poświęcony wyka-
zywaniu, że udział zespołu polskiego
w paryskim festiwalu nie przyniósł
tzw. klapy, lecz raczej sukces; nie
doszło jedynie do podbicia Paryża.
Istotnie, jak to z dalszych obserwa-
cji pisaćcego te słowa może wynik-
nąć, polskie występy w Paryżu ni-
czym nie różały na tle większości
europejskich przedstawień. Ba, skru-
pulatnie kierownictwo festiwalu ob-
liczyło, że w statystyce wpływów
kasowych oraz ilości odgłosów kry-
tycznych teatr krakowski znalazł się
na czwartym miejscu wśród par-
dzieściu uczestniczących zespołów.
Istotnie, jak na występy przeciętne-
go teatru mieszczańskiego to nie by-
ła żadna klęska, ani klapa. Jak na
teatr z kraju socjalizmu — to było
coś gorszego od klęski. To był za-
wód.

Od biedy można zgodzić się na wnioski Edwarda Csato. Tak jest, trzeba jeździć na międzynarodowe festiwale raczej dla siebie samych niż dla Paryża; dla nauki, po to, aby się rozwijać i stać się lepszymi. Tak jest, wóz trzeba nie to co „może się podobać“, ale to co się naprawdę naszej ludowej widowni podobało.

Nie można za to zgodzić się z żadnym prawie jego założeniem. Mniejsza już o sprawę kłapy i sukcesu. Gorzej, że Csató w swojej pasji usprawiedliwiania urzędowych błędów twierdzi, że przedstawienia krakowskie wysłane do Paryża bynajmniej nie ukazały polskiego teatru w sposób fałszywy. Może to i prawda, że nie były one wcale gorsze od większości przedstawień w licznych naszych teatrach. Ale twierdzić tak, to znaczy negować istnienie dyskusji i walki w naszym teatrze. To znaczy zakładać, że ścian istniejący jest może smutny, ale jednolity, prawomocny, jedynie możliwy i harmonijnie wynikający z posiadanych możliwości. Znaczy to zamykać oczy na istnienie możliwości zupełnie realnych, często już urzeczywistnionych i żywych, ale ignorowanych, odsuwanych, uporczywie negowanych wbrew oczywistości, wbrew politycznej konieczności.

Csato na szczęście sam sobie przeżył. We wszystkich wnioskach szczegółowych pozostaje rozsądnym, kompetentnym krytykiem teatralnym. Wie, jak złą rzeczą jest improwizacja. „Z.msta” i nawet „Lato w Nohant” pojechały do Paryża w trybie improwizacji. Csato wie, że jeszcze gorsze jest, iż „doprowadziliśmy w

naszych teatrach do konieczności takiego improwizowania." Słusznie wskazuje na jedną z tych przyczyn: brak zespołów w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Wolno sądzić że ma tu na myśli zespoły czymś się od siebie różniące, ożywione jakimiś własnymi ideami artystycznymi, mające wspólne poglądy na repertuar i swoje zadania. Szkoda tylko, że całe to swoje rozumowanie postanowił tak obrócić, żeby w każdym wypadku wynikało, iż wszystko było dobrze, nikt nie błądził i że właściwie nie mogło być inaczej. Tymczasem jest inaczej. Stan obecny większości (wcale nie wszystkich!) naszych teatrów — niezadowolający nawet dla pobłażliwego redaktora „Teatru” — jest rezultatem określonych błędów, które koniecznie należy wykryć i usunąć, jeżeli się naprawdę chce, aby było lepiej.

Sprawa jest tak prosta, że nie wymaga nawet przypomnień o pożytku samokrytyki. Jeszcze stary Buckle twierdził, że „kto nie widzi ciemności, ten nie będzie nigdy wyzierał ku światłu”. Buckle nie był romantykiem ani marzycielem. Był jednym z ojców trzeźwego pozytywizmu.

W Paryżu sprawił zawód nie polski teatr. Tym bardziej nie — teatr socjalistyczny. Sprawił zawód nie właśnie typ teatru, który w naszych kilkuletnich dyskusjach został już wielokroć rozpoznany jako równie mało ambitny artystycznie, co skuteczny politycznie. No tak, dyskusje. A praktyka? Dyskutowaliśmy parę lat i mało co się zmieniło. Tyle się wskórało, że najgorliwszych nawet odeszła chęć do gadania. Więc dyskusje niepotrzebne? Może nikt nie miał racji? Ejże. Po prostu dyskusje ograniczały się do kiwania palcem w bucie. Na trybunach grzmiało i łyskało, a w teatrach rzeczy szły swoją drogą. Zmieniali się dyrektory, ba, nawet naczelna dyrekcja trafiała wreszcie w ręce wyborczego i czynnego fachowca, ale system bódź-ców w roboty teatralnej pozostawał ten sam. Dalej bezpieczniejsze i zyskowniejsze były oportunizm, artystyczna monotonia, ostrożność w doborze repertuaru, zwłaszcza współczesnego. Żeby to wszystko uszło płazem wystarczyło zapłacić wcale niewysoką cenę: dość po prostu spełnić kilka prostych warunków.



„Pięć aktów, na szczęście krótkie
Oto

Kiedy przychodzi co do czego, nie widać u nas zaufania do własnych zasad. To nie tylko niemoralne. To również nie bawi nikogo. Bieda naszej polityki kulturalnej w dziedzinie

nie teatru jest, że kiedy musi wybierać między ważną polityczną zasadą, a sekciarskim przepisem estetycznym, to zwykle wybiera drugie i to w przekonaniu, że spełnione są wymogi socjalistycznego realizmu! To sekciarstwo estetyczne prowadzi prosić do politycznego oportu-
nizmu, ma go nawet równoważyć i usprawiedliwiać! Przykłady? „Grzech” Żeromskiego, który w zeszłym roku pojechał do Paryża bez ostatniego aktu granego przecież w kraju. Tegoroczne występy, w których lojalność wobec kanonów estetycznych miała zastąpić wymowę ideową.

Pięknie, ale jakie było praktyczne wyjście, na czym się tu oprzeć przy wyborze teatralnych reprezentacji? Zgoda, nie tak wielu mamy Dajmków. Ba, nawet Axerów nie więcej niż dwóch. Czy jednak statystyka decyduje o charakterze życia teatralnego? Czy nie jest typowym błędem uważanie przeciętności za typowość? Czy razem z Leonem Schillerem zostawiliśmy w Algi Zasiadłych jego zapładniającą pasję i myśl twórczą, której rozwój ograniczanie był uzależnieniem od zwycięstwa ludu w naszym kraju?

Może mieszczańska konwencje teatralna usprawiedliwia jej wyjątkowość polityczną? Może ten typ teatru lepiej od innych służy partyjnej tendencji, której pasji wychowywania widza, która zdaniem naszych wrogów — właśnie szkodzi naszej sztuce? A gdzie tam! Można właśnie wykazać, że bezideowość jest tutaj grzechem głównym. Ta ona właśnie tak upocobniała styl teatralny, który w latach czterdziestych polskich występów w Paryżu do stylu większości burżuazyjnych teatrów. To bezideowość powoduje głównie wrażenie nudy i staroświeczyny i w krakowskiej „Zemście” i na innych naszych podobnych przedstawieniach. Powiem więcej: nie co innego, tylko bezideowość sprawiła, żeśmy w tym roku sukcesu w Paryżu nie odnieśli.

W Paryżu mówiło się powszechnie o kryzysie repertuaru, stylu, warsztatu reżyserskiego i aktorskiego. Nie wnikając nawet w różnorakie tego stanu przyczyny, można stanowczo twierdzić, że podstawowy powód polega na izolacji narodowych ośrodków teatralnych. Jest to izolacja dwójaka i w tea-

są zgodni co do tego, że mają się nazywać jedynie wykształconymi i którzy nie szukają wytchnienia od trudów życia, lecz od samego życia, wtedy zaczyna on upadać, ale szybciej upada, niż wznosił się kiedykolwiek przedtem...”

Okazało się na festiwalu paryskim, że rozmowy o kryzysie teatralnym, wcale nie wszystkich ośrodków dotyczy i że słuszne słowa Csokora nie odnoszą się wcale do pewnego typu teatru. Sławetny kryzys u nas nie jest kryzysem teatru. Nie do nas odnosi się diagnoza Csokora. Na widowni naszej z-

za Csokora. Na widowni naszej za-
szły zmiany. Mam kryzys zespołu
środków artystycznych, wypracowa-
nego w XIX wieku i nieodlud-
go np. do przekazania widom tre-
ści radzieckiej klasyki rewolucyj-
nej, teatru starożytnego czy elzbie-
tańskiego, tj. teatru tych okresów,
kiedy był on rozrywką prostych
ludzi. Okazało się jednocześnie, że
zespół ten stosowany mechanicznie
przez teatr przybyły z socjalisty-
cznego kraju nie daje żadnego po-
jęcia o życiu jego stałej widowni
ani o propozycjach kulturalnych
jakie komunizm niesie. Oto sedno

spaw. Wszystkim na ogół znana jest ogromna konsumpcja dóbr kulturalnych w naszym kraju. Nie wymagamy się jednak samym pielegnowaniem tradycji od odpowiedzi i odpowiedzialności w najważniejszej kwestii: na nas ciąży zaszczytny obowiązek przypomnienia i wykazania, że socjalizm oznacza przyspieszenie postępu i rozwój we wszystkich dziedzinach, z wielokrotnością jego szans, że jest żywym — i żyźniejszym od innych — gruntem dla kultury. Mówny ścisłej: dla twórczości kulturalnej. Nowej twórczości. Tak, twórczość za wszelką cenę. Nie przeżuwanie, montaż, przekładanie starych kłógów, ale twórcze przekształcanie tradycji artystycznej i pomnażanie jej o rzeczy nowe, w naszym już świecie poczęte. Jest w tym zdrowa ambicja. Ambicja — to znaczy chęć dumy, dumy z twórczych sił socjalizmu, który na dobrą sprawę musi mieć ich więcej niż jakikolwiek dawny porządek oparty na gwałcie nad masami i marnotrawstwie ludowych talentów.



Z. Jaroszevska w roli George Sand z „Lata w Nohant“ Iwaszkiewicza.

ma ona o wieczności tych form estetycznych i tego smaku, którego prawa do życia to pismo broni na równi z przywilejami francuskich kamieniczników i episkopów.

Zeszłoroczny wspaniały sukces „Mazowsza” i zasłużone powodzenie Teatru Kameralnego z Warszawy budziły w tym roku dobre nadzieje i każyły francuskiej opinii potraktować Teatr im. Słowackiego ze sporym zresztą zapasem życzliwości. Triumf Chińczyków i Teatru Brechta nie pozwolił też wrogiem socjalizmu czynić uogólnień, do których byłoby skory.

Musimy sobie jednak bez ogródek powiedzieć, że przysłanie na festiwal tego teatru nie było szczególnie pomysłowe. Do sądu tego skłania zwłaszcza przedstawienie „Zemsty”, które poszło w Paryżu na pierwszy ogień, a miało prawo (i to słuszne) być pokazane tylko na Nordzie naszym rodakom, spragnionym zarówno polszczyzny, jak poglądowych dowodów, że w ludowym państwie kwitnie tradycja narodowa. „Zemsta” nie odpowiadała ani prawdzie Fredry, ani — co gorsza, prawdziwie naszych czasów. Chce i musi z nią korespondować każde ambitne przedstawienie najklasyczniejszej nawet sztuki. Wiadomo, że masywne dekoracje przyczyniły się do przedłużenia przedstawienia. Wiadomo, że ani mistrzostwo i wigor Leszczyńskiego, ani pełna wdzięku prostota Aleksandry Karzyńskiej, ani umiar i kultura Stanisława Zaczeka nie potrafiły uczynić z tej sztuki rzeczy zrozumiałej dla Francuzów. Nawet gdyby pojełi dowiecpi i perypetie, to przyjeźliby wyborną sztukę Fredry tak jak Warszawiaczy przyjmują „Romantycznych” Rostanda. Jest to rzecz doprawdy blaha i wtronna, a z intrygi właśnie podobna do „Zemsty”, jeśli nie brnąć pod uwagę bagatelki; bogactwa frede-drowskich charakterów; świętności analizy obyczajowej; uroku frede-drowskiego wiersza i niepowtarzalnego klimatu tej sztuki, na który złożyły się krocie obserwacji życia narodowego.

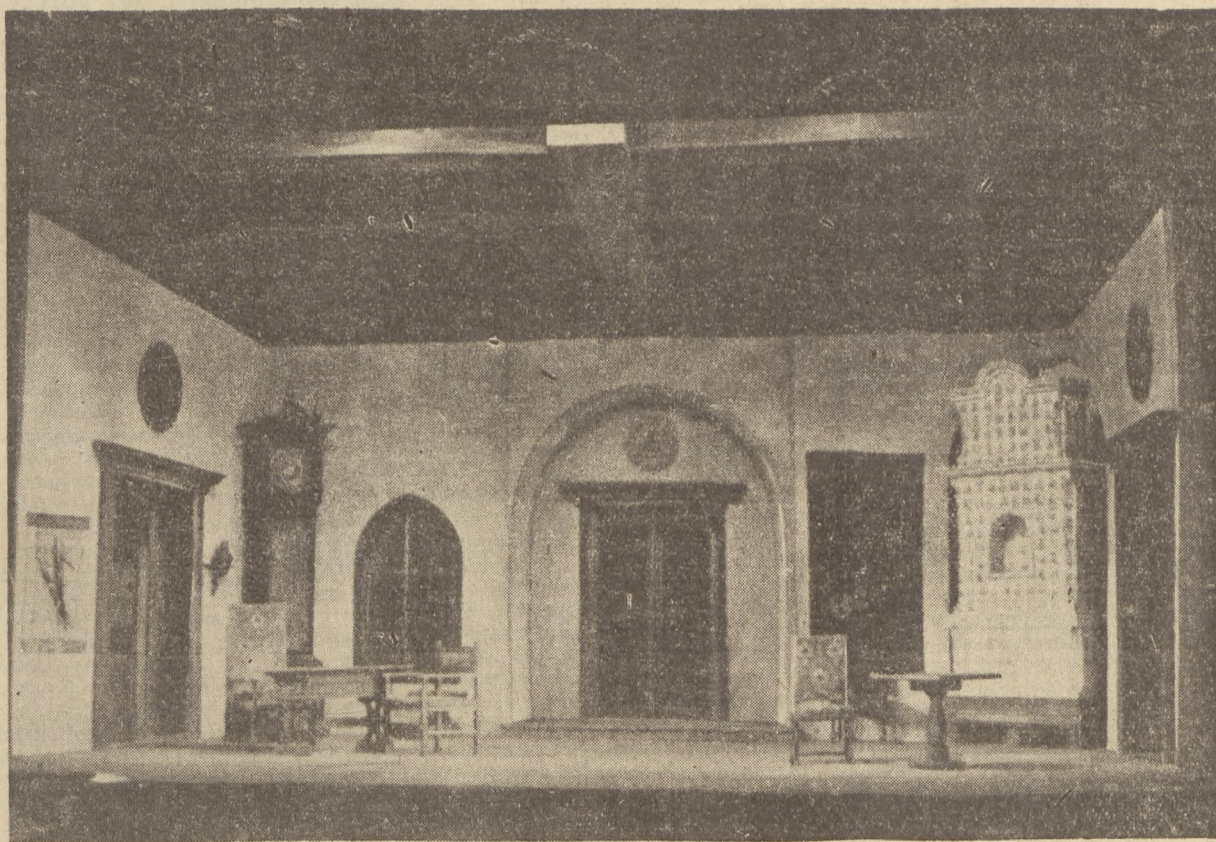
Ta bagatelka nie zniosła eksportu. Nuda zniosła za to eksport świetnie.

Wszystkie braki przedstawienia zestrzeliły się w jego stylu. To on decydował o wrażeniu. Żle byłoby, gdyby styl ten miał stać się — modelem realizmu. Trzeźwo biorąc jest to styl prawdziwej konwencji teatralnej i tylekroć wyklinyany naturalizm powstał niegdyś właśnie z buntu przeciw niemu. W dobrym wykonaniu (a tak właśnie grają doświadczeni i utalentowani kra-

kowsky aktorzy) jest ten styl — po prostu staromodny. W złym — prowadzi wprost do szmiry i zgrzywania się. Jest datą wspólnym mianownikiem wszystkich partykularzy teatralnych na szerokim świecie. Jaką drogą tam dotarli? Oczywiście przez nieme kino! Mam na myśli nie wielkiego Chaplina, ale nawet Douglasa Fairbanka, lecz Lilianę Gish, Iwana Mozzuchina i Polę Negri. Skąd ten styl? Niewątpliwie z braku innej ofensywnej koncepcji. Natura nie znosi próżni. Co zapełnia próżnię stwo-żony w naszym teatrze? Styl znany z dawnego przyzwyczajenia, styl dziadków, o których zapomnieliśmy, uderając się z ojcami. Styl ten miał korzenie historyczne i to nawet głębokie. Przyszli do kina w momencie jego narodzin — z ówczesnego teatru. Tak oto krąg się zamyka; jest to typowy wypadek błędnego koła. Podobno ten i ów próbował nawrót do tego stylu usprawiedliwić wielkim imieniem warszawskich „Rozmaitości”. To tak, jakby nawrót do tramwaju konnego uzasadniać przykładem Bolesława Prusa. Jeżeli taki ma być wynik kampanii przeciwko kultuśkiemu naturalizmowi w teatrze, to powinowacze. Trzeba wreszcie wziąć na serio przekonanie, że sztuka tak czyniaczej jest jakimś odbiciem rzeczywistości! Mniejsza już, czy odbiciem zwierciadlanym, czy raczej pośrednią relacją; niewątpliwa jest przecież zależność. Zespół środków artystycznych uzależniony od mianionych stosunków wygasłej epoki, ukształtowany przez jej klimat, odpowiadający skomplikowanemu i przemijającemu stanowi ducha ludzi innego czasu, co ważniejsza — innej formacji społecznej — nie może być mechanicznie stosowany do zaspokojenia potrzeb dzisiejszego odbiorcy. Kto tego nie chce zrozumieć, ten nie szanuje własnej epoki. Szacunek dla tradycji polega na jej rozwijaniu, nie zaś na bezradnym naśladownictwie. To chyba jasne.

Sprawy te nigdzie nie są tak bolesne i widoczne, jak w teatrze. Wrażenie prawdy jest tu bepośrednio odbierane. Zapewnić je może tylko taki styl gry, który współbrzmi ze stylem myślenia, odczuwania i zachowania współczesnego ludowego widza. Piszący te słowa widział w teatrze Hebertot na Bulwarze Batignolles londyński Workshop Theatre, zaś na ulicy Vieux Colomier — zespół Jacques Fabbri. Obie te trupy oglądała szczególnie Warszawa podczas naszego Festiwalu. Demokratyczne tradycje i cele obu zespołów są

(Dokończenie na str. 5)



„Pięć aktów, na szczęście krótkich, w każdym razie krótszych, niż antrakty“ — pisał krytyk paryski.
Oto przyczyna: dekoracje „Zemsty“ były masywne,

trach Zachodu obie jej postacie występują łącznie. Mowa o izolacji teatru od mas ludowych i po drugie – izolacji od innych ośrodków teatralnych, bardziej postępowych. Ale, ale! Co to znaczy „postępowość” w teatrze? Kryterium tej postępowości jest chęć skutecznego oddziaływania na umysły szerokiej rzeszy w ich własnym interesie; postać tej postępowości jest odważne, politycznie celowe poszukiwanie nowych, skuteczniejszych form owego oddziaływania.

O kryzysie teatru mówił również na kongresie PEN-clubów w Wiedniu Franz Theodor Csokor, pisarz wybitny, zasłużony i szlachetny. Csokor przytoczył znane słowa Hebbła: „Gdy teatr staje się sposobem spędzenia czasu dla znużonej klasy ludzi, którzy

Tegoroczne występy polskie krytyka paryska powitała z dużym wstrząśnięciem. I to w najlepszym wypadku. Snobistyczne i wypytujące „Arts” pokwitowały naszą wizytę lekceważącą, krótką wzmianką. „Figaro”, „Aurore”, „L'Information” i liczne organa mieszańskie nie bez grzecznej popłaźliwości podkreślały chórem, że nie nowego, że owszem, stare, solidne tradycje, że dekoracje masywne, a piec monumentalny, że nawet miłe, bo przypominały czas

nawet mnie, bo przypominał czasy Edmunda Rostanda, czy nawet Augusta. Szczególnie znamienity był głos „Aurore”. Skrajnie prawicowa gazeta z radosną satysfakcją podkreślała „żywołność akademizmu”. Zademonstrowana na festiwalu przez teatry krajów o najrozmaitszych reżimach politycznych świadczyła

SALOMON ŁASTIK

O hotelach robotniczych — bez osłonek (II)

Nie trzeba chyba rozwodzić się nad tym, że do miast portowych przybywa młodzież spragniona przygód, że miasta portowe są zbiórnikami wielkiej ilości młodzieży „spod ciemnej gwiazdy”. A jednak po zwiedzeniu szczecińskiego Domu Stocznia wycieka z uczuciem optymizmu, aczkolwiek zło jeszcze się tam panoszy, aczkolwiek krótki stał się czas dzieł młodzieży, do stanu chaosu, jaki panował w tym domu do chwili obecnej, kiedy „dom” zaczyna nabierać cech domu (bez cudzo-słowa).

Gdy działa aktyw młodzieżowy

Krótki czas dzieł chłopów od chwili, gdy w ich DMR dokonano zbrojstwa na zabawie noworocznej; zbrojstwa w walce o... stół. Nie wiem, jaki był wyrok na podpiętych mordców, ale wiem, że okropny ten wypadek spowodował przysłanie przez KW człowieka mądrego, który w ciągu kilku zaledwie miesięcy zdołał zespłodzić młodzież zetemowskiej, potrafił wykorzystać doskonale urządzenia Domu, a przede wszystkim radiowęzeł, w celach wychowawczych. Przysłany instruktor partyjny nie poszedł drogą oddziaływania „administracyjnego”, lecz obrał kierunek wychowawczy. Teraz każdy fakt wykreślenia, niechlujstwa, bumelanctwa, bójki czy innego uczynku niegodnego młodzieży robotniczej jest tematem rozprawy przed mikrofonem albo na ogólnym zebraniu, i nie ma pokroju, nie ma mieszkanka, który by nie słyszał wypowiedzi kolegów z Rady Hotelowej, wypowiedzi samego oskarżonego; nie ma wypadku, by wierszyki czy satyryczne dedykacje pod adresem niesfornych kolegów nie trafiły do uszu młodzieży, nie ma wypadku, by każdy objaw doniośli czy ujemny nie znalazł właściwego oświetlenia. Są też zabawy, i kółka amatorskie, i dyskusje. Dlatego dać się zauważyć zmiana opinii miasta o tym domu. Było jeszcze sporo ironii w wypowiedziach pewnej obywatelki Szczecina, która mi pokazała te dwa piękne bloki na Bankowej, gdzie się mieści DMR, ale i ona musiała przyznać, że ostatnio dzieje się tam lepiej.

Zresztą jak skutecznie można wpłynąć na młodzież, gdy się do niej odnieść z sercem i ze zrozumieniem, niech zilustruje fakt z pafawagowskiego DMR.

Młody robotnik dźgnął nożem kolegę. Za co? Właściwie za nic... Stałi razem z innymi kolegami, wyglądali się, drwili, i gdy jeden z kolegów wyjął paczkę papierosów i poczesował całą grupę a jego omi — ten chwycił za noż. Wypadek ten od razu zakomunikowano nie tylko kierownictwu DMR, lecz i Radzie Zakładowej, która nie długo się zastanawiając, orzekła: wywuci chulianka na zbyty łeb, a sprawę skierować do MO.

Na szczęście kierownik Domu, były ślusarz pafawagowski, i samorząd hotelowy byli innymi zdaniami. Podzieli się zbadania przyczyn przestępstwa i ukarania winnego bez pomocy Milicji. Chłopak był pełen leku. Możliwość ingerencji Milicji, perspektywa rozprawy sądowej, a co najważniejsze, ewentualnego wydalenia z pracy, była dla niego straszna. Toteż z uczuciem ulgi przyjął uchwałę samorządu orzekającą usunięcie go z zatrudnienia z powodu kradzieży i przesunięcie do transportu na okres 6 miesięcy, odebranie mu na taki sam okres prawa do uczestniczenia w zabawach świetlicowych, wreszcie nakazując odkupienie swojej winy pracą społeczną: dopomożem w dekoracji świetlicy, w utrzymywaniu czystości na podwórku Domu. Co go uratowało? Okazane zaufanie. Fakt, że zainteresowano się nim jako człowiekiem, że wniknęło w głębsze pobudki tego niepożądanego czynu. Chłopak rzetelnie wykonał wyrok i 1 maja tego roku należał do niezliczonych, których pierś zdobiła odznaka Przewodnika Pracy.

Cóż więc spowodowało ten chuligański wybryk? Trapiące go od cawna, od małości, poczucie upokorzenia i niższości. Zawsze w domu miano go za nic. Gdy polecał na kursy przysposobienia zawodowego, wyłaził ze skóry by zwrócić na siebie uwagę — ale jakoś uszła uwaga wykładowców jego pilność i ambicja. Chciał w pracy i w DMR-ze być „kimś” — bo jest chłopcem ambitnym — ale i tu nie zwrócono na niego uwagi. Wystarczyło więc niepojęstowanie go papierosem, obrażenie go w obecności kolegów, by fakt ten stał się iskrą zapalną, która spowodowała wybuch w tym niewinnym, niepozornym chłopcu. Zamanifestował w swoisty sposób, że i on jest obecny na tym świecie...

W DMR Pafawagu uratowano chłopca. A jak załatwili ten incydent obywateli Kujaszczk ze Stalingradzkiej lub obywateli Bożek z Ogródowej?...

Gdy rządzi biurokracja

We wrocławskim DMR postarano się o to, by rzeczywistość odpowiadała na swemu przeznaczeniu, by był domem dla młodzieży, by kształcił w niej uczucie wspólnoty, smak estetyczny, zamilowanie do czystości i porządku. Chodziło o korytarze, wycielonych chodnikami, ogłazem ścian, ozdobił je fotografiami najsłynniejszych zaskaków naszego kraju. Byłem w pokojach gdzie są i wazoniki, i obrazy, i dy-

waniki pod nogami, a szafy w większości pokoiów są otwarte (rzecz nader rzadka w hotelach i DMR-ach gdyż kradzieże są zjawiskiem dość częstym; w hotelu bielańskim i łódzkim widziałem nawet na niektórych szafach podwójne klódki)... — i pytałem sam siebie: dlaczego tu, w tym Domu, odczuwa się klimat ciepła, szacunku, przywiązania młodzieży, a w innych obserwuje się dewastowanie, rozkradanie urządzeń i w ogóle barbarzyński stosunek do własności społecznej?

Czy nie wpływa na to klimat spokoju i troski o kształt moralny młodzieży, dobrze postawiona praca wychowawcza, wesołe i kształtujące wieczorki, szczerza wymiana zdań, myśli, spostrzeżeń między kierownictwem a młodzieżą? Przecież tu nie może się zdarzyć taka sytuacja jak na Stalingradzkiej, by kierowniczka Baru Mlecznego, na uwagę że zupy są niesmaczne, odpowiedziała „Ja zup nie jadam w barze”... by traktowano młodzież jak bandę łobuzów, lub by interwencję kolegów domagających się wezwania Pogotowia do chorego kolegi uznano za „niewłaściwe awanturnictwo”... „Jesteście za młodzi, aby się tak stawiać i c'magać”. Tak powiedział kierownik na Stalingradzkiej — a była to szkarłatna. Pogotowie chorego nie zabrało, leżał jeszcze dwa dni w hotelu, nim go ułożono w szpitalu. Tymczasem zachorowała na szkarlatynę jego kolega...

Jednego wieczora byłem pod wrażeniem „samotności” dziewcząt na Ogródowej. W jednym pokoju leżała chora dziewczyna. Na szczęście był akurat lekarz, zbadał chora, zapisał lekarstwa. Ale siostra mieszkająca w hotelu miała widocznie jakieś ważniejsze sprawy, niż opiekowanie się chorą o temperaturze 39,8. Leżała więc sama (koleżanki jeszcze nie wróciły z pracy lub były na spacerze), a obok niej napisane recepty i nikt się nie zajął o to, by podać chorej chociażby mokry ręcznik na głowę. Zaintere-

sowało to mnie. Zwróciłem się zapytaniem do kierowniczki. Ale ta spokojnie odpowiedziała, że od tego jest siostra. Dopiero w nocy pogotowie zabrało chorą do szpitala...

Wypadki takie świadczą o bezdusznosci niejednego urzędnika w Hotelach Robotniczych. Przy tym wielu z nich po prostu wrogo i donosi się o młodzieży. Trzeba zobaczyć ironiczny uśmiech takich kierowniczek, gdy się mówi coś pochlebnego o mieszkankach hotelu, by zrozumieć dlaczego młodzież czuje się tak zagubiona i obca w hotelu, który powinien być jej domem. Jeśli dodamy ponadto, że o dziesiątej, prawem kaduka, wyłącza się gaz, uniemożliwiając młodzieży pracującą na drugiej zmianie, czy uczącą się w szkołach wieczorowych, albo zajętej pracą społeczną ugotowanie sobie kolacji — zrozumiemy, jak wszystko przeżywa elementarnym wymaganiem troski o młodzież. W Domu Młodego Nauczyciela na Pariskiej są trzy kuchnie, ale młodzież nie może z nich korzystać. Musi sobie gotować na płytkach kuchennych. Na Ogródowej zaś wszystkie kontakty zostały zalokowane, by młodzież nie korzystała z płytek...

W DMR Pafawagu są specjalne pokoje gościnne dla krewnych, utrzymuje się listowny kontakt z rodzicami, urzędnicy się spotykają z rodzinami. Po raz trzeci przyjeżdżają rodzice ze wszystkich stron kraju, by zobaczyć jak ich synowie żyją, jak im się powodzi.

Wiele Hotel Robotniczych i Domów Młodego Robotnika powierzono ludziom powołanym do tak odpowiedzialnej pracy. A ponieważ gigantyczne rozmiary naszej roboty gospodarczej przyczyniły setki tysięcy młodzieży mieszkającej w hotelach i DMR-ach, warto też sprawie poświęcić więcej uwagi. Bo różne panie, różni panowie i ci wszyscy, którzy widzą w tych skupiskach młodzieży wlepienie złych obyczajów, będą mieli rację dotąd,

dopóki nie przyjdą do pracy ludzie kochający młodzież, rozumiejący jej potrzeby, umiejący ją uaktywnić, stworzyć klimat wspólnej odpowiedzialności za wspólny Dom.

W księżce Stanisława Wygodzkiego „Powrót do domu”, poświęconej młodzieży DMR Ursusa jest bardzo charakterystyczne miejsce. Młodzież, wśród której rej wodzą tam bumelanci i niebieskie ptaki, na początku nie tylko urzędnicy niesamowite burdy, lecz niszczą złośliwie to co właściwie przeznaczone jest do wyłączenia jej użytku: świetlice. Dlaczego? Dlatego, że nikt z młodzieży nie brał udziału w dekorowaniu świetlicy, bo gdy tylko została doprowadzona jako tako do estetycznego wyglądu zamknięto ją i zabrano klucz.

Jeśli nie wszędzie wrogość do kierowników, robiących wszystko bez pomocy młodzieży, traktujących młodzież jak nierozgrzniętą bydlę wymagającą stałej pieczy pastuchów z biczem, wyraża się w tak drastycznej formie jak to miało miejsce w Ursusie, to niemal kompletna absencja młodzieży hotelowej na świetlicowych imprezach, jest wyrazem braku przywiązania do miejsca, które dla młodzieży powinno być źródłem radości wzbogacającym jej wiedzę o życiu, o świecie, dającym bogatą skalę wzruszeń i rozrywek. A dzieje się tak dlatego, że np. kierowniczka świetlicy na Ogródowej uważa się za osobę z „towarzystwa”, zna się nawet na poważniejszej muzyce — i siłą rzeczy nie ma o czym mówić z młodzieżą. Nic więc dziwnego, że na tych imprezach znajdziecie młodzież z okolicznych ulic, a młodzieży hotelowej, dla której te imprezy są przede wszystkim przeznaczone, będzie znikomy odsetek. Można zarzykować twierdzenie, że kierowniczka świetlicy bardzo rzadko przekroczyła próg hotelu, a ona pracuje tu najdłużej, gdyż pracownice k. o. zmieniają się dzieki jej kaprysom jak rękawiczki. Komu więc służą tak

kosztowne świetlice, jak na Stalingradzkiej czy na Ogródowej? Młodzież z ulicy jako miejsce spotkań jesienią i zimą, smarkaczom jako miejsce gry w „cybembaję”, ale nie sprawie najważniejszej — wychowaniu młodzieży. Bo tam gdzie pachnie oficjalnością, tam nie ma oddziaływania wychowawczego. Jeśli wielu lokatorów oświadczyło mi, że pomimo wielomiesięcznego pobytu w hotelu ani razu nie wstąpiło do świetlicy — nie mam powodu nie wierzyć im.

Zjawisko to nie jest typowe tylko dla Ogródowej i Stalingradzkiej. Jeśli idzie o Warszawę, można by zaliczyć co najmniej dziesięć procent wszystkich świetlic przyhotelowych, z Domami Młodego Nauczyciela włącznie...

Młodzież stroni od nudy, młodzież jest aktywna, i kto potrafi wzbudzić w niej aktywny stosunek do pracy kulturalnej, kto nie robi dla młodzieży, lecz pracuje z młodzieżą, kto nie planuje imprez przy biurku, lecz sięga do zainteresowań i żywych młodzieży, każe jej organizować wieczorki, ufa jej pomysły, smakowi i ogranicza się do roli starszego kolegi, doradcy, rzeczoznawcy, ten może liczyć na ożywienie swojej pracy. Ale do tego nie nadają się dystygowane panie z pretensjami, tylko ludzie z pasją, z temperamentem, ze zmysłem pedagogicznym, ludzie kochający nie tylko poważną muzykę, lecz i naszą robotniczą młodzież, ludzie o ideałowym podejściu do spraw młodzieży.

Gdy byłem w Łódzku DMR na Pieninach, odczułem atmosferę zadomowienia, zaufania, szczerości i przywiązania ze strony młodych włókienników do swego Domu. A pracuję tu jako k. o. warszawianka, nie o wiele starsza od samych dziewcząt. Mimo to cieszy się u nich autorytetem. Kierowniczka zaś z prawdziwą partyną pasją walczy o stworzenie atmosfery wychowawczej. A przecież do tego nowego

Domu przyszło 70 dziewcząt z przyzakładowej DMR-u, gdzie od lat nie były nawet zameldowane, chłopcy zaś po prostu mieszkali w pokojach dziewcząt. I o kilka miesięcy pobytu wystarczyło, by w tych, dość już zdeprawowanych dziewczętach wzbudzić uczucie szacunku, skłonić je do zastanowienia, wywołać potrzebę czyszczenia się swoimi wątpliwościami z kierowniczką k. o. czy nawet z kierowniczką Hotelu, która nb. nieco straszy swoim purytanizmem... Dzieje się tak dlatego, że stworzono klimat zaufania, że wszystkie posunięcia wynikają z najlepszych chęci wobec tych dziewcząt, że idzie tu o wyrobienie w nich poczucia godności osobistej i godności kobiety, poczucia wstydu, taktu, umiaru. Atmosferę zadomowienia stwarza też gospodarka DMR, dobre posiłki za opłatą 250 złotych miesięcznie, systematyczna praca biblioteki i szeroki wachlarz zajęć świetlicowych, samokształcenie, praca w zespołach amatorskich, jak również możliwość odwiedzin i przebywania w DMR-ze krewnych, rodziców w specjalnie zarezerwowanych pokojach gościnnych.

Czy trzeba żywić kierownicze więcej polotu i odwagi w eksperymentowaniu, mniej bojaźni przed wszelką innowacją? Niewątpliwie tak! Ale nawet w tym stanie w jakim ten Dom widziałem, z zaufaniem jakim darzą kierownictwo mieszkanki Domu, wnioskuję, że tu niejedną dziewczyną, która poszła już po śliskiej drodze, zawrócił na właściwą.

Tak, tam gdzie kierownictwo wkłada serce w swoją pracę, tam gdzie młodzież spotyka się z troską, serdecznością, tam następuje „katharsis”...

Tam gdzie dziewczęta zostały pozostawione same sobie, mają miejsce takie fakty, jak sześć wypadków ciąży w jednej malej fabryce włókienniczej w Lubsku, ucieczka dziewcząt z DMR w Lesnie z biał-

(Dokończenie na str. 7)

PATRZĄC W OCZY (I)

Na emigracji powątpiewają w narodową tożsamość Polaków, w jej autentyczność. Może im się poważnie wydaje, że kiedy się czyta w „Kosacie” Lenina, to już przestaje się rozumieć Mickiewicza. Gdyby na tej płaszczyźnie rozprawić, można by przeprowadzić interesujący dowód, że dopiero teraz czuje się całego Mickiewicza.

Bardzo naiwnie stawia się na emigracji problem Polski — czy ona jest, czy jej nie ma — ale byłoby błędem taki ton lekceważyć. Chciałbym właśnie poprowadzić dyskusję na płaszczyźnie najprostszej — aż naiwnej... To przewietrza atmosferę myślenia, wyswobadza je z różnych kompleksów i przydatków, wyswobadza z rzekomego znawstwa, którego przecież w człowieku i tak jest cegiełka za mało, a które krępuje w ruchu, jak wypchane kieszonki. W czołowie moim drogi wiodą przez zagadnienia całkowicie polityczne. Otóż nie jestem specjalistą od polityki. Tyle tylko, ile jest dziś specjalistą każdy człowiek, którego los prywatny zależy dziś bardzo ściśle od polityki. Dlatego szuka on rozstrzygnięć różnych spraw polityki w zakresie własnego rozsądku. Powinien dla nich także szukać rozstrzygnięć w swoim sumieniu. Teraz każde posunięcie polityczne widzę w pewnej perspektywie moralnej, a z drugiej strony każde ludzkie dzieło, transakcja handlowa, czy zrobiony film — ma sens polityczny.

Kiedy w Holandii osuszono Zuijder See i wyrosło tam wspaniałe zboże — był to czyn polityczny o sensie moralnym. Kiedy nadmiar zboża wrzucono potem w morze — też był to czyn polityczny, choć z innym moralnym sensem. Kiedy wreszcie wielki twórca filmowy Joris Ivens w roku 1930 w pięknym repertoarzu filmowym, pokazał ten jakby cykl reakcji łańcuchowych — od osuszania błot do wrzucania ziarna w morze — był to trzeci z kolei wypadek, i polityczny i moralny. Twórca filmu był w tym dziele specjalistą od polityki.

*

Na emigracji zaalarmowano patriotyzm ludzi dobrej wiary, chociaż chodzi nie o patriotyzm, a o zwykły interes klasowy góry emigracyjnej, odrąbannej od władzy przez bieg wypadków. To jest moja koncepcja nieporozumienia emigracyjnego.

Będzie to na emigracji pogląd niepopularny. Myślę o szeregu emigracyjnych, nie o sztabie i administracji emigracyjnej. Tych ludzi z administracji rozmowa nasza nie obchodzi. Dla poparcia tego twierdzenia wspomniałem o moich dziełach. Przed paru tygodniami „Dziennik Polski” w Londynie, organ czynowników emigracji (mówię to bez zamiaru obelgi) nazwał mnie agentem UB, który kiedyś celowo zia-wił się na emigracji, aby siać tam zemet. Następnie wrócił do „centrali”. Nie cytuję tego wskutek roszczeniowości, ale jako fakt, który coś demonstrowa. Zauważyłem: w kołach, które autorzywały te wiadomości, dobrze wiedza, że nie byłem agentem i że moje dzieło na emigracji, jak i powrót do kraju nie były owo-

cem ideowego wygodnictwa, czego zostawiłem siad drukowany w prasie emigracyjnej. Mam więc prawo tej wzmianki o mnie wnioskować, że oficjalna emigracja nie ma najmniejszego szacunku do tych, którzy dyskutowali zagadnienie emigracyjne uważając, że jest to zagadnienie zarówno polityczne, jak moralne. Ale tym samym ci administratorzy emigracji nie mają szacunku do samego zagadnienia emigracyjnego. To bardzo ważne. Nikt tam na emigracji nie będzie potraktowany jako człowiek z mózgiem i sumieniem, jako człowiek mający prawo do wątpliwości. On i jemu pocobni w oczach administracji tworzą zaciąg — potrzebny do działań, masę odbiorców — potrzebną do czytania niesłychanej ilości emigracyjnego druku, tworzą, krótko mówiąc, zaplecze emigracyjnej chorągwi. Przecież za chorągwią musi ktoś postępować, tak także przyzwolność.

Są tam po to, żeby za cenę ich osobistego losu stało się zadanie konwencyonalnej przyzwoitości dziełowej, bo przecież bez nich zjawisko emigracji przestałoby się liczyć w dziełowych kategoriach. Słabością klasowej emigracji francuskiej po ścięciu Kapeta było to — że nie miała narodowego zaplecza. Tak wyglądają sprawy... Tych, którzy przestają emigracji asystować i wrócić do Polski, nazwał tam, z zamiarem zyskredytowania, agentami. Wcale nie z miłości, po prostu administracyjnie i karnie. Dlatego nie w tonie emocjonalnym, ale dla ścisłości, nazwał „Dziennik Polski” w Londynie organem czynowników emigracji.

Chodzi w tym liście nie o czynowników, ale o żywych ludzi, którzy mają ze swoim losem tyle kłopotu, co swego czasu i ja miałem. Być może, prawem rutyny, prawem najmniejszego oporu, z roku na rok pozbijają się oni tego kłopotu. Trzeba z naszej strony coś zrobić, mówić, pisać, brnąć z daleka za ręce, żeby zahamować ten proces rutyny. Mimo że ta akcja może być niepopularna właśnie u tych, o których chodzi. To dosyć prawdziwe, że ludzie nie lubią, kiedy wytrąca się ich z rutyny, rusza się ich myśli z miejsca. To naturalne: przeprowadzki drogi kosztują, zwłaszcza przeprowadzki w pojeściach i w wyobraźni.

Chodzi o to, żeby przemówić i do logiki emigranta, jak i do jego wyobraźni.

*

Rutyna emigracji jest głęboka. Jest to rutyna pojęć i wyobrażeń narzuconych przez klasę, która dotąd była autorem tych pojęć i wyobrażeń, i nazywała je pojęciami polskimi, chociaż było to zjawisko znacznie wcześniejsze, niż pojęcia i wyobrażenia całego narodu polskiego. Na emigracji rozstrzygnięto w imieniu narodu, a w istocie prawem kaduka, szereg problemów z niedawną historią. Emigracja — wyraz klasy, która przepłatała władzę i swoją historyczną pozycję — ma naturalnie odpowiedni klucz do tłumaczenia historii. Miałem kiedyś ten klucz w rękach, przypominam sobie, jak się nim pracuję.

To wymaga spojrzenia wstecz,

ZEIGNIEW FLORCZAK

Droga m y ś l i

Każdy ustrój jest szkołą jakichś idei. Trzynastcie lat szkoły, którą nazwiemy z grubszą sanacją, zresztą kombinowaną z endecją i falangą, zostawiły też swoje idee i nastroje, które potem, po wrześniu, wywoziło się na emigrację. Starsi studenci jeszcze u Dmowskiego i Hallera, albo u Jodki, Sokolnickiego i Piłsudskiego. Najmłodsi mieli w duszy wydrukowany podręcznik gimnazjalny polskiej historii — tej, którą symbolizował, dajmy na to, ksiądz Skorupka, czytający cudrad Wisła. Nie od rzeczy będzie na marginesie tej rozmowy, jeżeli rozmawiamy serio, wystawić oym pedagogom mały rachunek za wychowanie międzywojennego pokolenia. Tym to gorzej zrobię, że mam co pomocy własne wspomnienia. Zadać sobie teraz po latach pytanie: o jaki to kształt i format człowieka chodziło tym pedagogom?

Za zgodą belfrów czytawo się Doboszyńskiego i Gierłtycha, a Marks był tym, który wynalazł żydokomunie. Nie potrzebna była zwłoczyć marksizmu, bo młody człowiek nie miał o nim żadnego pojęcia — nie tyle naukowego, co nawet rozumowego. Owszem, jako materiał naukowy podawano „Moje pierwsze boje”. Młody nauczyciel historii wykladał z dumą, że Piłsudski, według jego własnych słów, traktował socjalizm jak tramwaj; jechał nim, a potem sobie wysiadł. Mam w Londynie szkolnych koleżanów, którzy powinni to pamiętać. Wiosną 1938, w rannych godzinach, najstarsze klasy gimnazjów wileńskich zaprowadzono pod dworzec. Przyszedł Rvdz-Smigiły. Karancja wielkiego człowieka nie miała w tym systemie ulec przerwie, po Piłsudskim nastąpił Smigiły. Sam zrzuciłem czapkę pod białe, wymyłe gumy limuzyny Smigilego. Smarkacz krzyknął: — Wodzu, prowadź na Kowno!

Celowo stworzono w owej Polsce klimat szowinizmu, antysemityzmu i ignorancji. Zapewne nie wszyscy oddychali tak spreparowanym ozonem, ale oddychał nim przynajmniej trzon młodzieży intelektualnej i asymilujących się wśród niej synów chłopieckich i robotniczych. Było to cywilizacyjne oblicze ówczesnej młodzieży, a młoda emigracja w dużej mierze rekrutowała się z tego trzonu. Kto wie, kto obliczył w jakim stopniu ów antynaukowy klimat wychowania zaważył na stosunku międzywojennego pokolenia do problematyki stworzonej przez rewolucję październikową? Myślę, że w stopniu decydującym. Ten stosunek formował się nie tyle w wyniku tendencyjnego nauczania, co właśnie wskutek ignorancji, w braku kryteriów poglądowych i jakiegokolwiek poznawczej dyskusji z tym, co nieśli bolszewicy. Myślę, że to niezmierne ważne dla zrozumienia klasycznej wreszłowej i jej konsekwencji politycznych, co następnie drogą rozmaitych powiązań, pozorne nadzwyczajnych, miało utworzyć światopogląd emigracyjny. Przecież tam już najzupełniej pogodzone endecje z rzekomymi socjalistami, aby dodatkowo zawrzeć pakt z piłsudczykami. Jest to nadzwyczajne tylko z pozoru, w rzeczywistości nigdy nie było między tymi grupami różnic w postawie światopoglądowej i historycznej.

Ten wspólny front utworzono przeciwko rzeczywistości różnej koncepcji światopoglądowej i historycznej, jaką zawierała rewolucja październikowa i szerzy powstałe z rewolucji państwo radzieckie. To jest, zdaje mi się, gwoździ, na którym wisi całe zagaczenie,

*

Przed wszystkim postawiono znak równania między Rosją (arką a Związkiem Radzieckim, czyli dokonano mechanicznego przesunięcia wszystkich poprzednich mienawości do Rosji — na Związek Radziecki. Te uczucia stały się, przynajmniej, głównym surowcem w fabryce ideałów emigracyjnych, ową matiere première, bez której fabryka stanęłaby. Dokonawszy tego podfałszowania przesłanek, ogłoszono rzekomo nie ulegający wątpliwości, bezbłędny wniosek: nie jakiś tam Związek Socjalistycznych Republik Rad, ale Rosja Sowiecka (nomenklatura ta ma w tym wypadku oczywisty cel) zastosowała nową formę uzaledunięcia od siebie Polski i zrobiła z niej pozorne państwo, taktyczny twór buforowy.

Nie można teraz udawać zdziwienia, że poddano się na emigracji podobnie symplicystycznej ideologii. Jej tragicomiczne, z punktu widzenia poznawczego, uproszczenie nie odróżczało Polaków, a raczej przyciągało. Znowu przypominać, że byliśmy po szkole sanacyjnej, kiedy ojczyste wykładło się przy pomocy cudu nad Wisłą, marksizm i bolszewizm — za pomocą żydokomuny. Te ideologię poddano się częściowo i w kraju — nie wszyscy przecież uczniowie sanacyjni wyjechali za granicę. Stąd były lasy i potrzeba amnestii. Było zjawisko, jak ktoś to nazwał, emigracji wewnętrznej, które teraz, moim zdaniem, usunęło się zupełnie na periferię tego bardzo czynnego życia, jakie charakteryzuje Polskę. Tym dziełowym migrenom i zawrotom głowy nie można się dziwić. Z łaski naszych dyktatorów „przedmura” i „żydokomuny” spotkali się z osobowością i idea państwa racjonalnego zupełnie od tego nie przygotowaniu, żeby nie powiedzieć gorzej: przygotowaniu negatywnym.

Było wtedy o czym myśleć. Zarzykuje twierdzenie, że kto nie myślał, zostawał w starej, nieprzewietrzanej jamie, co się okazało najjaskrawiej w warunkach emigracji. W roku 1949, w dialogu, który nie był tak bardzo fikcyjny, bo mogło go wówczas prowadzić wielu Polaków, ułożyłem następujący dyalekt:

„...Rosja? Musielibyśmy dojść do tego problemu i ten jest najgorszy ze wszystkich. Być może, że Sowieci, to rosyjskie paskudztwo. Ale oto w czym rzecz: ja nie mam absolutnej pewności, że to jest paskudztwo. A ty, czy tam na zachodzie nie budzisz się czasem z przerażeniem, że może obóz rosyjski naprawdę zamierza „ruszyć bryłę świata”, a w takim razie ty, krótko mówiąc, poszedłeś między świnię, która broni swojej kałuży?” („Kultura” Nr 3/20, r. 1949).

*

Pomnąwszy prowokacyjne eklekticyzmu widzę w tym dawnym sformu-

waniu wstrząsającą, pozytywnie wstrząsającą prawdę o moim narodzie. Naród jako całość znalazł się u boku tych, którzy nie widzą szczęścia i sensu w zastąpieniu kałuży. Gdybyw owego sformułowania sprzed lat nie miał pod ręką, usiłowałbym je dzisiaj napisać, choć nie wiem, czy napisałbym je z równą ekspresją i naiwnością. Tu nie piszę na ogół wielkich sformułowań i metafor. Może to z tego pochodzi, że bardzo wymowne metafory dostarcza życie. Ów proces twórczy, który przekształca dzień z roku na rok ongiś chudą i prowincjonalną Polskę w kraj produkujący i chłonący, kraj o napiętych mięśniach i nerwach — naprawdę niepodobny do kraju złotych brzytek i białych sławek, jaki chce od historii wyreklamować emigracja. Metaforą wyjadają się te jawne, materialne powązania losu polskiego z dziełami całego świata. W Korei pracowali pod bombami polskie szpitale i kto wie w jakim — choćby symbolizującym — stopniu przyczyniło się to do przetrwania w tej ziemi ognia zabijającego ludzi. W Indiach toczą się polskie wagony z Pafawagu — w tym jest jakiś znak i synteza. Chińskie rysunki Kulisiewicza są nie tylko wytworem najsułbitniejszej sztuki polskiej, ale również metaforą, jak mówili na początku: polityczną i moralną.

Wiek Polska jest. Jak udowodnić, że ktoś istnieje? Jeżeli udowodnić, że ten ktoś pracuje i śpiewa, że dzieła tego żyją i powodują następne życie, czy będzie to wystarczający dowód, że ten ktoś jest?

Najtrudniej dowieść rzeczy oczywiste. Gdy ktoś stojąc obok stołu twierdzi, że stołu nie ma — nie wiadomo, jakich użyć argumentów. Podjąłem się tutaj dowiedzenia rzeczy oczywistej dla mnie i 27 milionów ludzi — że Polska jest Polska, państwem, w którym zorganizowano pełne narodowe życie i że nikt tego państwa nie okupuje, bo nie wojsko i administracja pilnują tu ustroju, ale silniejsze od wojska i administracji idee. Z emigracji można będzie te rzeczy dojrzeć, gdy się oczyści pole widzenia emigracyjnego.

Wiem zresztą, wiem na pewno, że łatwiej jest dojść do tych wszystkich pojęć będąc na miejscu w Polsce, drogą — aby tak powiedzieć — doświadczeń i kontaktów zmysłowych, niż drogą domystu, śledząc oc lat poza krajem. Codzienny kontakt z ludźmi i przedmiotami, z przejawami ich woli i myśli, kontakt z wielkimi ambicjami społeczeństwa, tym konkretniejszy, że włączając odczuwa się zwykłą niedoskonałość życia — wszystko to działa na wyobraźnię jak zbliżenie w filmie, jak opis detaliów w nęgodzie i w następstwie mocno kompromitujące obsesję emigracyjną o zniewolonej Polsce. Może ważniejsze jest przemówić do wyobraźni emigracji, niż do jej intelektu. Ale jak to uczynić? Nie przelecieć się w pułdki zapachu ziemi i nie ma takiej taśmy, na której można by nagrać nasz codzienny krzyk życia, powrotu do prawdziwego życia. Pozostaje nam droga myśli.

Zygniew Florczak

JULIAN PRZYBOS

O Józefie Czechowiczu

1
Nie znalazłem, niestety, bliżej Józefa Czechowicza; dwa z nim krótkie spotkania w Warszawie, w której przed wojną bywałem bardzo rzadko, pozostawiły mi w pamięci widok ładny, wizerunek człowieka łagodnego i malomównego, o oczach zasnutych zadumą czy nieustanną troską. Otoczony młodymi wielbicielami go przyjaciółmi — wszyscy oni byli początkującymi poetami; — sam Czechowicz wydawał się najbardziej nieśmiały i skromny; mimo że każde jego odezwanie się świadczyło o znawstwie sekretów poetyckich, jakich nie dostrzegał żaden z uczniów, trudno mi było nawiązać z nim serdeczniejsze porozumienie. On, który skarbił sobie serca wielu bezradnych liryków, mnie wydał się sam bezradnym i zagubionym w wirach ówczesnego ruchu poetyckiego. Niedługo potem przeczytałem jego bodajże ostatni drukowany wiersz przedwojenny: wzruszająca elegia „Żal”. Natrętny lek na myśl o klęsce wojny, jak towarzyszył jego lirycy od początku, przejął słowa tego wiersza smutkiem strasznego przeczuca. „Żal” to jakby nieumyślne epitafium napisane przez poetę samemu sobie: zginał we wrześniu zabity bombą, jak jeden z ówch nieznanych poległych, których śmierć wróżył w tym wyrocznym wierszu.

Czechowicz wydał z trudem kilka zbiorów wierszy i nie mógł w ówczesnych warunkach wydawniczych marzyć o zebraaniu w jednej książce wszystkiego co napisał. W Polsce przedwrześniowej nie znalazłby wydawcy. A oto dziesięć lat po śmierci poety zebrałi przyjaciele wszystkie jego, nawet niedrukowane, wiersze, a „Czytelnik” wydawszy je, myśli pewnie o drugim wydaniu, bo znikły natychmiast z księgarni. Cichy poeta, już za życia jakby skazany na zapomnienie, powrócił między żywych i jego liryka czaruje najmłodszych.

2
Poglądy na poezję i sądy o niej ulegają u nas w ostatnich dwu latach tak szybkiej zmianie, że zapewne niejedno zdanie ze wstępu, jakim Jan Spiewak i Seweryn Pollak poprzedzili „Wiersze zebrane” Czechowicza, nie wyraża już dzisiejszej ich opinii. Znać bowiem zbyt wyraźnie w ich trosce o tzw. „ustawienie” poety schemat, który obowiązywał w minionej już (sprzed dwu lat) „epoce”. Ponieważ Czechowicz uważał się i uchodził za — jak się wówczas mówiło — „awangardziste” w poezji — Pollak i Spiewak, żeby poetę usprawiedliwić, przedstawiają Czechowicza, jako ofiarę środowisk literackich, które w nim wbrew niemu widziały przedstawiciela „Awangardy”. Żeby odwrócić uwagę czytelników od odmiennej formy jego wielu wierszy, brakiem przestankowania wyzywająco manifestującej dążenie do nowości, do zerwania z tradycyjną konwencją — zapewniają, że w istocie nie miał nic wspólnego z tą „Awangardą”, że był ludowy, leninowski i nawiązywał do tradycji epigonijskiej i tylko to co miało „wydźwięk” (czytaj: tromladrację) znajdowało łaskę u większości recenzentów. Znać również w słowach wstępu uległość wobec schematu, któremu do niedawna hołdowali tzw. nurtolodzy: że w dwudziestolecie nie było kierunków i szkół poetyckich.

Znać w tych zabiegach o wzgląd wydawców i krytyków dla nowatorstwa spóźnioną obawę przed obowiązyującym do niedawna schematem w poezji. Tylko to co było „nawiązujące do tradycji” (czytaj: epigonijskie) i tylko to co miało „wydźwięk” (czytaj: tromladrację) znajdowało łaskę u większości recenzentów. Znać również w słowach wstępu uległość wobec schematu, któremu do niedawna hołdowali tzw. nurtolodzy: że w dwudziestolecie nie było kierunków i szkół poetyckich.

Ale po cóż tak bronić i przed kim Czechowicza? Poezja albo zaleca się i broni sama, albo nie warto jej bronić. Czechowicz pozostawił kilka pięknych liryków, które przetrwały mody i oprą się ograniczającym zakazom sezonowych krytyki.

3
Gdyby Czechowicz tylko trzymał się tradycji i ambicję skierował tylko na przestrzeganie klasycznej wersyfikacji — nie budziłby tych czułych sympatii, którymi darzą go dzisiejsi czytelnicy. Skala jego uczuciowości nie była szeroka, tematy podobne do podejmowanych przez skamandrytów w okresie, gdy chwalił prowincję. Ale Czechowicz oprócz bardzo wielu wierszy tradycyjnych i banalnych, a także oprócz kilku utworów programowo „fantazjo: wórczych” czyli wysiłonych, niezrozumiałych, z których — napisał kilka arcydzieł lirycznych, a więc poezji jakich nie było, wierszy w nowy sposób objawiających nowe wzruszenia. I tylko te wiersze się liczą, tylko te są Czechowiczowskie. Czechowicz, wbrew temu co mówi wstęp, bardzo sobie cenił „awangardowość”. Przecież on to właśnie wraz z towarzyszami zorganizował wielki „Najazd Awangardy” na Warszawę, wieczór autorski, w któ-

rym wzięli udział wszyscy przeciwstawiający się konformizmowi w poezji. Usiłował też wraz z krytykiem L. Frydem stworzyć program poetycki, który by połączył starszych i młodszych antytradycjonalistów. Rezultatem tych jego usiłowań było pismo „Pióro” (dwa numery) i wydawnictwo pt. „Arkusze poetycki”, a pośrednio Antologia Frydgo i Andrzejewskiego (krytyka). Niezupelną mają rację autorzy wstępu twierdząc, że Czechowicz nie bawił się w teoretyzowanie; wprawdzie jakichś wypowiedzi programowych niewiele można znaleźć w tym, co ogłosił, ale to chyba dlatego, że brakło mu zdolności do dyskursywnego myślenia. Starał się jednak coś sugerować, coś zapoczątkować i głosił hasło „fantazjotwórstwa”. Niewiele lub nic nie mówiące, bo przecież każda twórczość jest owocem marzenia twórczego, dziełem fantazji. Często bywa, że artyści uparcie domagają się od samych siebie tego, do czego im brak talentu. Czechowicz nie miał bujnej fantazji — i właśnie fantazji żądał w poezji, chciał programowo być fantasta. Rezultat był oplakany. Takie „fantazjotwórstwo” jak „Plan akcji”, „Dian”, „Opowiadanie” itp. to twory bez sensu, rozbite świadomie na rzeczy niejasne i niezrozumiałe.

Istnieją bowiem różne rodzaje tzw. niezrozumiałości. Są utwory, które tylko na pierwszy rzut oka wydają się niezrozumiałe i tylko powierzchowny czytelnik oskarża je



o niezrozumiałość. W istocie są to utwory właśnie twórcze, nowe, objawiające nieznaną dotychczas prawdę widzenia i czucia, z konieczności więc odbiegające od znanych i łatwych do rozpoznania treści. Takiej to rzekomej „ciemności” bronił Norwid, przeciwstawiając jej płaskiej „jasności” wulgaryzatorów. Są jednak utwory lub fragmenty utworów istotnie niezrozumiałe, bezsensowne. Niezrozumiałość (jeśli nie jest przez poetę zamierzona) zawiniła albo niedopracowanie wiersza przez autora, nie dość jasne sformułowanie tego, co chciał poeta powiedzieć; jest to więc po prostu błąd artystyczny niesprawność warsztatu. Albo wina tkwi w niejasności myśli, która chce pozostać nie dość jasną, pojąsną, lub sprzeczną logicznie, dziwną czy dziwaczną. Taką mglistość rozstrnuwali w wierszach symboliści. Ale może też być niejasność zamierzona, wypracowana, chcącą przyciemnić światło, przemienić określoną myśl stałą, w stan płynny czy gazowy. Przykład takiej rzadkiej przewrotnej niejasności wskazać można niekiedy w wierszach poetów o skąpej wyobraźni, siłających się na fantastyczność. Przypuszczam, że działał na takich wyrafinowanych niezrozumiałych źle pojęty wzór poezji Apollinaire’a. W wierszach tego poety przelewał się nadmiar związków myślowych i wyobrażeniowych między poszczególnymi widzeniami poza ramy zdań i zwrotek, tworząc wokół opowieści fantazyjny lub fantastyczny nimb, liryzującą mgiełkę. Usiłując go naśladować poeci nadrabiali brak bogactwa skojarzeń rozpylianiem wierszowanej opowieści w „stan gazowy”.

W wymienionych wyżej wierszach Czechowicza kojarzą się te dwa rodzaje niejasności chętniej, zamierzonej. Taki „Plan akcji” i „Dian” pozoruje głębię treści na wzór symbolistów, a zarazem wysiła ubogi jasny sens, żeby się ocenił bezsensem. Ale o takie niezrozumiałe wiersze Czechowicza potykamy się rzadko. Czechowicz naturalny to poeta mówiący z prostotą — zdawałoby się — niemal dziecięcą.

4
O pretensjonalną chęć zaciemnienia treści oskarżano Czechowicza z powodu graficznego wyglądu, jakiego dawał swoim wierszom: nie używał interpunkcji ni dużych liter. Skąd ten zwyczaj, co on znaczy i czy jest istotnie w czymś pomocny zawartości wiersza?

Nowsi poeci francuscy od czasów Apollinaire’a też nie posługują się znakami przestankowymi (podobnie jak wielu poetów włoskich, hiszpańskich itd.). Nie stawia kropek nawet Aragon, który w czasie wojny wrócił do starych, jeszcze Ronsardowskich form wersyfikacyjnych i przestrzega ich rygorystycznie w

swojej praktyce wierszopisarskiej. Ale i Eluard i Aragon zaczęli każde zdanie „z dużej litery” uchwycenie więc początku i końca zdania jest dla czytelnika łatwiejsze.

Anegdota opowiada, że Apollinaire skasował znaki przestankowe w wierszach z irytacji na zecerów, popełniających w korektach stałe te same błędy w interpunkcji, kiedy on cnił mieć przecinki gdzie indziej niż tego żądają przepisy ortografii. Odczuwał więc niedostateczność znaków przestankowych, a nie mogąc ich pomnożyć, wołał w ogóle ich nie używać, pozostawiając ten trud czytelnikowi.

Sądząc, że niekiedy może się zdarzyć, iż poeta nie może się zgodzić na ani jeden przecinek w wierszu. Przecież wyobraźni snuje się czasem tak nieprzerwanie, wijąc wyobrażenie z wyobrażeniem w jeden ciąg splecionych obrazów, jakim wtedy staje się wiersz. Postawienie przecinka w którymś miejscu takiego wiersza złożonego ze skojarzeń rozszczepiłoby ciągłą pracę wyobraźni i rozpruło wiersz. Ale są to wypadki rzadkie (w mojej praktyce wierszopisarskiej zdarzył mi się jeden jedyny raz). U Czechowicza zaś typ wiersza „asocjacyjistycznego” jest częsty, i brak interpunkcji — jeśli nie w pełni, to w dużej mierze — usprawiedliwiony. W wielu jednak bradycyjnych, opowiadających. Staffowskich czy skamandryckich wierszach Czechowicza brak interpunkcji raz i wydaje się łatwym epatowaniem czytelnika. Brak przecinków i kropek pełni wtedy taką funkcję, jak np. młodopolska maniera stawiania niemal po każdym zlitaniu wielokropek... Wmawia w czytelnika, że zdanie, czy fragment zdania zawiera więcej, niż zawiera...

5
Poezja Czechowicza nie była ani zmaganiem się ze swoim czasem, nie była podjęciem żadnego z ostrych konfliktów epoki, ani też nie była zmaganiem się poety ze samym sobą. Daleka i od walki społecznej i rozterki wewnętrznej ograniczona do tkliwych lub smutnych wspomnień z dzieciństwa, do obrazów z natury, do czułych sielankowych nastrojów, snów, kołysanek, elegii i przyspiewów. Jeśli pojawia się w jego wierszu „proletariusz-krytykomanista” to sąsiaduje z westchnieniem do „gwiazdy morza” i apostrofą: „bracie bez gniewu i nienawiści” (wiersz „Dzisiaj”). Sam biedny, nieuznawany przez oficjalną krytykę i wspierający jeszcze niedźwiedzi — nie buntował się w wierszach, lecz cierpiał, znajdując ukojenie we wspomnieniach prowincji, małych miasteczek i wsi. Osiągał w tych swoich miniaturach czystość tonu i delikatność rysunku mistrzowską.

A zaczął inaczej, zapowiadał się zaczepnie, bojowo. Pierwszy jego, jeden z najlepszych zbiorów liryki pt. „Kamień” brzmiał mocno. Słychać w nim było odgłos radykalnych i „urbanistycznych” programów i wierszy nowatorów ze szkoły krakowskiej. Wstępna „Inwokacja” w tym debiucie Czechowicza należy do jego wierszy najlepszych. Nie wszystkie, niestety, iskry wykrzesane w tym radykalnym „Kamieniu” rozjażyły się w późniejszych zbiorach. Ale oskarżenie skierowane przeciw — jak byśmy dziś powiedzieli — „podżegaczom wojennym”, lek przed wojną i świadomość nadciągającej zagłady — nie opuszczały go do ostatniego dnia. Dzięki tym treściom należy Czechowicz do nawiązliwych przedstawicieli bezradnej inteligencji (często „redukowanej”, bezrobotnej) przed wojną. Jest poetą bezbronnego inteligentnego marzycielstwa, przerywanego lekkiem przed redukcją, nudzą i wojną.

6
Żeby pokazać, jakie nowości wniósł Czechowicz do wiersza polskiego, najlepiej zrobić to na przykładach. Trudno je cytować kilka, przytoczę nie najpiękniejsze, ale jeden z najkrótszych, zaznaczając, że można na nim ukazać tylko cząstkę.

ZE WSI
Tych kijanek tych przacek u potoczka
kujawiak kujawiaczek siwe oczko spłi
bura burza od boru i jak bór dudni piorun
rzucił na wodę ognisty kij
pogryzł deszcz widnokręgi niedobry pies
w glinie zburiły krople rude mokra wleś wieczna wieś
takie dno zielonego świata
znad wsiwni czeresien zmyto błękit
spłi dziecko niezabudek
no spłi to znasz
w okno patrzysz, a po cóż
niepogoda na uwrociu opłakała trawkę
mam ja za obrazem grający kij
mam ja ligawkę.
kujawiak kujawiaczek
w muzyce spłi.

Jest to liryka kołysankowa, dlatego taka śpiewna; ale podobnie śpiewne są najlepsze wiersze Czechowicza. Zwłaszcza pierwsza zwrotka dźwięczy. Tetni i dudni od onomatopei i echałsił zestrojonych jakby kontrapunktowo.

(Dokończenie na str. 7)

WALDEMAR KIWILSZO

Mitologia i realizm



Maria Jarochowska: Dziadowska miłość, str. 344. Państwowy Instytut Wydawniczy.

„Dziadowska miłość” jest książką, której nie można czytać bez uczucia lekkiego podenerwowania. W sąsiedztwie najbliższym z żywym światłem często uchwyconym i zapisanym szczegółem materialnym czy epizodem ludzkim, w wielkich fragmentach, gdzie słuch literacki nie zawiodł Jarochowskiej w niczym, dając znakomicie zarysowane portrety ludzkie i obrazy o piękności większego autentyczności, raz po raz napotykałyśmy znaki konwencjonalnego szyfru i nadmiar stosowanej metafizyki. W niektórych partiach powieści czujemy się jak dzieci, które wciągnięto w zabawę w duchy. Przyczyną sprawczą wydarzeń i atmosfery im towarzyszącej są tutaj najczęściej działy włożące się po wsi nie wiedzieć przez kogo, nastane, dalej zabobon, duchy i babskie gadania. Wier Jarochowskiej — Osieczany — pokazana jest przede wszystkim od strony kobiet, one to stale pływają, obgadują się wzajem i plotkują, w większym też stopniu niż innych trzymają się ich przędzy i wierzenia.

Można by w ogóle rzec bez większej przesady, iż cała struktura powieści zwiniona została w niemałym stopniu przez kobiety.

Ten żywioł plotkarski zastępuje też dramatyczny powieści. Pierwszym rozdziałom nie towarzyszą żadne wydarzenia dziejące się współcześnie, w czasie trwającym, narastającym. Będzie to tylko najcisze działo do Weroniki Włoszarkowskiej i do starego Fiorka, wizyta przepukniętych w Józefy Terlaczki oraz spotkanie cyganki przez Franciszkę Mrówczaka i Bronia Bratka. To wszystko. Rozdziały wypielniają poza tym głębokie retrospektywne rzuty opisujące dawne osieczankie dzieje, pełne walki i dramatyzmu losów ludzkich. Współczesność w tej powieści jest za to łagodna, odbywa się konfliktami wewnętrznymi oraz małymi śpiewkami rzeczywistości, którym towarzyszy dość fałszywa rodzajowo sceneria. Współczesność nasza przemawia z niej w ogóle jak gdyby półgłębkiem.

Dopiero w rozdziale ostatnim powieści coś się dzieje, jest jakiś wątek korpusek akcji i powiedziałbym, że od tego punktu miała się może zacząć powieść. Tutaj też sytuacja Osieczan zarysowuje się szerzej i wyraziściej. Niestety jednak, jak na całą powieść to jednych chrzczy za mało. Brak akcji, brak wydarzeń, plotka, obrzęd, mitologia to elementy tworzące w niemałym stopniu profil powieści. Nie ma też w niej prawie nic z nastroju stawiania się, podążania naprzód, rozwoju. W końcu, mimo okrzyku Filipa Terlaczki, który miałby symbolicznie otwierać perspektywę przyszłości osieczankiej spółdzielni, przezwanej przez dawnego wojska Domina „dziadowską miłością”, sam utwór wydaje się być pozbawiony wyrazistości, dostrzegalnej, uchwytnej perspektywy. W powieści nie maluje się przed nami obraz nowego życia. Jest ono tu urzędowe jeszcze bardzo staromodnie. Obraz współczesności jest mgławic, zarty, uwikłany w sieć amatorskiej plotkarskiej, łatwych a niewiarogodnych legend dziadowskich i magii obrzędów oraz guseł.

Wszystko to należałoby może powiedzieć na samym końcu, już na podsumowanie. Niestety, od tego właśnie należy zaczynać polemikę i dyskusję z powieścią Jarochowskiej. I musi to być z konieczności polemika o metodę dotykającą dwu kategorii podanych w tytule.

Nie można odmówić pisarce rozległej, nieraz w podziw wprawiającej znajomości życia wsi, realiów, psychiki chłopskiej, folkloru. Są to niezaprzeczone atuty „Dziadowskiej miłości”, jeśli ją umieścić porównawczo w galerii wielkiej naszej literatury. Jarochowska obdarzona jest pamięcią spostrzeżeńową, jakiej szczerze mogłby jej pozazdrościć każdy epik. Umie też podać skrót charakterystyczny celnie człowieka, jego opis niebanalny i własny. Czasami czyni to jednym zdaniem, kiedy np. mówi o Józefie Buraku, że „był postaci niedużej, choć zylasty w sobie, jak rzemynek od chomąta i mocny” — i tak, jak gdyby odśladniał jednocześnie wyobraźnię chłopską, porównującą przedmioty i ludzi na podstawie skojarzeń danych bezpośrednio w najbliższym otoczeniu. Charakterystyki postaci nie wybiegają w abstrakcję psychologiczną, nie gubią

się też w pseudo - głębinowej psychologii, są oparte o pewną wiadomą zasadę obserwacji realistycznej.

W ogóle jednak trzeba powiedzieć, że Jarochowska i w tej powieści nie zdradziła sama siebie, pozostała wierna kreśleniu portretów psychologicznych, charakterów dawnych i dzisiejszych; bardziej jednak dawnych, ponieważ żadnych mutacji współczesnych tych charakterów w powieści nie widzimy. Postacie „Dziadowskiej miłości”, są jak gdyby pozbawione jakiegos członu motywacyjnego. Dotyczy to głównie ich sposobu działania we współczesności, chociaż liczne partie retrospektywne, to nieustanne zagłębienie poza plecy bohatera, mają niby mu dawać pewien kapitał biografii psychologicznej a w każdym razie ukazywać prowadzącą wizerunek tendencję.

Ośrodkiem zainteresowania pisarki jest więc szkic psychologiczny, portret charakteru. Takie założenie tłumaczy jak gdyby osobliwości konstrukcji powieściowej. Akcja jest nieznaczna, zredukowana, pozbawiona nerwu dramatycznego. Powieść nie ukazuje życia wsi w procesie ciągłym i bezpośrednim. Daje wszakże obraz konfliktów ludzi, które opierają się na realnych i konkretnych przesłankach tkwiących na zewnątrz i niezależnie od nich. Jarochowska pozornie ukazuje wieś o tyle tylko, o ile daje to materiał motywacyjny dla charakteru postaci, w rzeczywistości zaś uzyskujemy wystraszając szerokie spojrzenie na Osieczany w dobie pańskich rządów i półpańszczyźnianej zależności od dworu oraz w momencie reformy rolnej. I talent narratorski pisarki daje tu znać o sobie w tak świetnych epizodach, jak doznany lub też w najpiękniejszej zapewne w naszej literaturze scenie nadziału ziemi z reformy.

„Dziadowska miłość” jest powieścią z życia spółdzielców wiejskich w Osieczanach. Ale nie widzimy w niej samej spółdzielni, jej spraw, mimo iż narracja wciąż wokół nich krąży, nie dochodzą one do głosu w jakimś szerszym epickim planie. Jarochowska zatrzymuje się jak gdyby na odmalowaniu samych nastrojów ludzi, rzec by można zajmuje się tylko psychologiczną klasyfikacją rzeczywistości. Obraz buduje się tutaj jak gdyby poprzez psychiczną absorpcję świata. Układ nastrojów, chęci i niechęci, opory, wahania i lęki dają niejkie wyobrażenie o sytuacji klasowej wsi osieczankiej. Opuuszczona przez męża Włoszarkowska, młoda, z trzęsawą głową Tadeusz Florek, doświadczony przedwojennie Terlaczki, Burakowie, których los obdźwił biedą i siemioma synami — to postacie, które autorka postawiła po lewej. Mrówczak, wójt Domin, poseł Wężykowski będący w jakimś sensie odpowiednikiem Korbala z powieści Newerlego, oraz stary Ponie — to prawica. Są jeszcze w tej powieści przybysze. To sekretarz Płatko i kierownik wydziału rolnego w Komitecie Powiatowym w Gostowie. Są to osoby wspierające lewicę. Ale na swoje duchy opiekunkę i prawicę. Można by powiedzieć duchy prawie bez cudzoziwu. Postacie bowiem działo i pyskatej przekupki są raczej umownymi znakami w tym podziale sił. Zresztą są to figury tak bardzo konwencjonalne i zalatujące z caleka literackością a nawet powiedzielibyśmy rodzajowym banałem, że należałoby je w rachunku ogólnym przenieść w bogactwo w tej powieści sferę wyobrażeń mitologicznych.

Cały mechanizm walki klasowej znajduje się właściwie w rękach ówch „duchów” a w każdym razie pozostaje w prostym związku zależności od tych postaci. Być może małym niedaktem będzie zwracać się w roku Mickiewiczowskim przeciwko „dziadom”. Ale wydaje mi się, że szkodzić oni tylko powieści Jarochowskiej, mając czysty i przezroczyty miejscami nurt utworu wnosząc w odpowiednie jęgo partie konwencjonalną tonację przypowieści. Te tkwiąca w „Dziadowskiej miłości” jakaś umowność przypowieściowa zdają się jeszcze potwierdzać tytuły rozdziałów. „Weronika”, która urodziła się lekkliwa, „Stary Florek o głębokim sercu i krótkim języku”.

Jak się rzekło, „Dziadowska miłość” stanowi galerię portretową. Portrety są tu zróżnicowane, bogate, zarys postaci jednak ten sam i miara ta sama. Ludzie z Osieczan bowiem, to ludzie tylko świadomości dnia powszedniego, małej, stłumionej w dodatku często przesądem i zabobonem. Może Jarochowska „sprozaizowała” nawet zbyt wielu bohaterów i to wszystkich. Nikomu nie dała szans wyróżnienia ponad innych. Ma to konsekwencje również strukturalne. Powieść obywatela się bez bohatera, nie ma w niej jakiejś postaci naczelnej. Jarochowska jest sprawiedliwa wobec wszystkich, ale sprawiedliwością złą, nie dobrą, nie pozwalającą żadnej postaci wybić się, uczyć się materii życia w ten sposób, aby z tej pasji wynikały jakieś sprawy i zdarzenia, które nareszcie poprowadziłyby w powieści akcję, dałyby jej pewien krwiobieg. Zgodnie z tym nie wychodzi autorka do jakiegos konstrukcji szerszej, nie buduje konfliktu, którego znaczenie wykraczałoby poza proces narastania

życia, poza codzienność bez wrażeń i wydarzeń czy też typ wiedzy anegdotycznej. Ginie oczywiście przy tym całościowe widzenie Osieczan, pełno w utworze nowelek, spraw potraktowanych osobno, powiązanych tylko nicią gadania i obgadywania.

W swojej metodzie ograniczeń autorka „Dziadowskiej miłości” jest konsekwentna. Eliminuje też całkowicie z utworu własną świadomość, pozostawia najbardziej wąską, zamkniętą widzenie wsi od środka, od wewnątrz. Świat jest widziany oczyma ludzi Osieczan, oczyma nie nawykłymi do szerszych horyzontów. Żadna przeto z postaci i ma w sobie przekonania choćb zarozumiałego, że z jej własnym udziałem dokonuje się w życiu wsi coś ważnego. W powieści widać w tym wyraźne zahamowanie działalności polityki, ideologii na ludzi. Z drugiej zaś strony Jarochowska stawia szeregi swoich postaci w niewolniczej wprost zależności od wierzeń, obrzędowości religijno-magicznej, przesądu i zabobonu. Takie przyjałmnie konsekwencje uzyskują przebogate wstawki i wyszukany folklorystyczne, cały ten z nieźrównaną wiedzą przylaczany przez Jarochowską materiał mitologiczno - ludowych wyobrażeń i obrzędów. Udział tych spraw jest taki, że wierze nieomal całym życiem wsi. Aktywizacja i nasilenie przesądów i zabobonu, owe najcisza wieszających działo, bajdy wierne handlary skupujące po wsiach ciuchy (postać ta potraktowana przez autorkę w spardiowanym stylu wiechowskim jest szarą takiej nienaturalności, że wywołuje gwałtowne odruchy protestu), wreszcie te nieustannie wdzierające się w życie Osieczan płody średniowiecznej fantazji, te południcie i strzyżone — decydują o nastawieniach ludzi, o ich codziennym i społecznym światopoglądzie. Taką jest u fikcja dyalektyki. Może Jarochowska spotkała się nawet z każdym z osobna opisanym zwyczajem, obyczajem i wierzeniem, ale uczyniła z tego użytek fałszywy. Zresztą używa sobie folkloru nawet bez wyraźnej potrzeby. Cały rozdział siódmy jest przecież tylko interesującym, zbeletryzowanym przytoczeniem żygańskiego folkloru. W powieści gra on tylko rolę rozkładową wobec i tak przecie nieścisłej, rozchwianej kompozycji.

Wolałbym sądzić, że cała ta mitologiczna aparatura chłopskiej świadomości wskrzeszona została przez autorkę z pożytków kart różnych roczników ludoznawczych albo też wyciąg z samego dnia Glogera. W żadnej też z powieści dziesięciolecia nie znajdzie się tak znakomicie wykonanego odświeżenia heraldyki wszystkich świętych. Rzecz biorąc z abstrakcji — wszystko to jest interesujące, w powieści natomiast z życia współczesnej wsi polskiej jest nie tylko zbędne, ale i fałszywe. Jarochowska szarżuje nawet folklorem. Obnaża się to najwyraźniej choćby we fragmencie na str. 282—3, kiedy się zdawało, że „południcza przyszła krew spółdzielców ssąc za te miedze”. Szczepan Malinowski „przymtomnie” replikuje: — „Przedzie strzygło to będzie, bo zmora przecież wssuwa się dziurką od klucza”. I dalej zaczyna się ludzie wzajemnie „uświadamiać”, jakie to postacie przybiera jedno i drugie, czym trzeba pogrozić, czym się zmierzyć itd. To wielosłowne drobiazgowo wykładanie czytelnikowi wiedzy magicznej jest nawet sprzeczne z prawem psychologicznym zjawiska onimienia i przerwania.

Wolno Jarochowskiej używać folkloru ile wlezie do powieści, jednak należałoby przytem trzymać się pewnej zasady, która pozostałaby w zgodzie tym razem już z historią. Funkcja folkloru w „Dziadowskiej miłości” jest w miejscach nabytych mnogich tylko funkcją malowania obrazu na ton rodzajowości, autentyzowania wsi. Ta prawdziwa pasja książki jest ahistoryczna. Zadaniem pisarza jest bowiem dzisiaj, jeżeli już po folklor sięga, ukazanie, jak te stare wierzenia, bajdy, przysągi i zaklęcia przekształcają się pod działaniem nowego czasu, jak przybierają nową treść, jakiś sens współczesny. Wszak i folklor ludowy pod działaniem naszego życia zmienia swą „filozofię”. Do takiego przekonania nie można dojść po lekturze „Dziadowskiej miłości”.

Że się wydawało, że wszystkie niekonsekwencje tej powieści biorą się z jakichś wewnętrznych sprzeczności warsztatu pisarskiego Jarochowskiej. Temat wiejski, jak mi się zdaje, bardziej może niż inny wymaga realistycznego w ścisłym sensie, epickiego przedstawienia. Jestem też zdania, że najlepiej może mu posłużyć konstrukcja niemyślna, najmniej skonwencjonalizowana, odpowiadająca samemu żywowi życia chłopskiego. Tymczasem Jarochowska nie wykazała w swej nowej powieści podstawowego niejako zmysłu epika — konstrukcji wielostronnie ukazującej wypadki oraz udział w nich losów człowieka i jakiejś jasnej perspektywy czasu. Interesuje ją przede wszystkim charakter człowieka, potrafi go opisać świetnie, żywo, ale jak dotychczas tylko nowelistycznie.

Waldemar Kiwilszo

STEFAN OTWINOWSKI

Śmierć prowincjonalna

W poczekalni hotelowej Jan spotkał swego sąsiada z pociągu. Uśmiechnęli się do siebie. Wzajemna zgoda na taki uśmiech rozpoczyna znajomość. Mimo że w czasie jazdy właściciwie nie rozmawiali, teraz mogliby już sobie dużo powiedzieć.

Trzeba było jeszcze czekać godzinę, zanim w hotelu zacznie się nowa doba. Na świecie rozwidniało się zupełnie.

— Niech pan idzie na śniadanie, ja tu już dla pana pokój załatwię — odezwał się sąsiad z pociągu. — Ja ich tu znam. Będziemy mieli przyzwroite, pojedyncze pokoje.

Jan podziękował skinieniem głowy, ale nie ruszył się.

— Na ulicy Żeromskiego jest dobrze prowadzony bar mleczny — ciągnął człowiek o wyglądzie budzącym zaufanie. — Dostanie pan nawet zupę, makaron, klusieczki... Nie tylko mleko czy kakao. Ja tu załatwiam pokoje. Powie pan: ten obok dyrektora Kayaka. Kayaka przez y. Oczywiście tego, że przez y, nie potrzebuje pan mówić. To już tu wiedza.

Uśmiechnęli się teraz obaj o jedną gamę wyżej. Znaleźli się na pierwszym stopniu zażyłości.

Jan wyszedł przed hotel. Było już zupełnie widno. Rozpoczęły się pochmurne godziny wrześniowego dnia. Nie padało. Można było przewidzieć, że i później deszczu nie będzie. Główna ulica przecinała skwer. Jan szedł wolno, zadając sobie pytanie, skąd się bierze ta troskliwość obcych ludzi, której doświadczał nie pierwszy raz. Może dostrzegają w nim początek choroby widocznej dla świeżego oka równie dobrze jak dla lekarzy. Swoją drogą, lekarzom nie bardzo wierzył. Nigdy nie należy im za nadto wierzyć... Teraz rozmyślał już realnie nad orzeczeniami specjalistów; niestety, diagnozy bardzo były do siebie podobne. Stało się nawet tak, jak sobie życzył, zmieniało istotnie tryb życia. Jest już w drodze do nowego losu, losu, który toczyć się ma wśród warunków trwałego spokoju. Znalazł w myślach te określenia i uśmiechnął się do swej nadziei i niewiary.

Było jeszcze zbyt wcześnie, żeby odwiedzić siostrę stryjczną, która mieszkała nieopodal ulicy Głównej, wszedł więc do baru mlecznego. Wszystko zastał tu tak, jak mu opisał świeży znajomy. Staruszka o twarzy profesjonalnej diwetki zjadła właśnie dymiący przyjemnie makaron, na pewno śniadanie po codziennej komunii świętej. Robotnik wyglądający na starego kawalera przeżegnał się i począł zająć zupę mleczną z zacierkami. Jan poprosił o duże mleko i bułkę z serem. Na ulicy z każdą minutą wzbierała fala przechodniów.

Zdawało mu się, że stoi już przed drzwiami Joanny kilka minut. Dłużej. Nikt nie otwierał. Nie uda mu się ta wizyta. Wyjechała? Ponowne mocniejsze pukanie spowodowało wreszcie sąsiada kuzynki.

— Pani Kłobudzkiej nie ma w domu. Wyjechała służbowo do Starachowic.

— Kiedy wróci?

— Powinna wrócić jutro. Tak mówiła. Chyba wróci.

Miał więc przed sobą całą dobe. Chciał koniecznie kuzynkę zobaczyć i pożegnać. Kto wie, kiedy czas pozwoli mu wyrwać się z rygoru nowej pracy, którą miał organizować daleko, aż za Krakowem. Trzeba zostać do jutra: dzień, noc i znowu dzień w zupełnym zawieszeniu. Był w takim stanie ducha, że rezerwe tę zakwalifikował jako sposobny odpoczynek. Idąc z powrotem ulicą Żeromskiego cieszył się nawet na pokój w obcym hotelu.

Pokój był rzeczywiście gotowy. Nowy znajomy zrobił swoje. Okno wchodziło na smutny, ale cichy skwer. Stał chwilę przy nim obserwując, czy cisza ma szanse trwać. Miała. Ludzie przemierzali szybko przekątne zieleńca. Dzień utwierdzał się w ponurym klimacie. Nawet dzieci nie przydła tu dziś bawić. Cóż mogło wynikać w najbliższej przeszłości? Jan chciał ją wykorzystać dla pełnego odpoczynku. Na pewno mu się uda.

Kiedy leżał już w czystej pościeli, gdzie wyżej, tak jakby nad sufitem, zaczęła grać monotonnie jakaś maszyna. Nigdy nie można oddać kaloryfery, odkurzacza, windy? Po jakimś czasie przyzwyczaił się. Żeby szybciej zasnąć, czytał raz jeszcze te same artykuły z pism, które miał w pociągu. W pewnej chwili odłożył gazety, serce było ostrożnie, rytmicznie. Dziwił się teraz, że właśnie w tym zrównoważonym sercu mogły się dziać zjawiska niepokojące nie tylko jego samego, ale i specjalistów. Powieki opadły. Wokół trwała cisza regulowana wiatkiem niewidzialnego motoru. Zasnął.

Jan obudził się z łękiem, że prześpał jakąś ważną okoliczność życiową. Z uczuciem, jakby za długi sen pozbawił go możliwości zrealizowania na pociąg. Nie, nie potrzebował się spieszyć. Przeciwnie, można było z czystym sumieniem traktować te dni jako zupełnie darowane, konieczne dla odpoczynku i skupienia przed nowym okresem życia. I ten człowiek, zahartowany i odporny,

któremu zdarzenia nie pozwalały nigdy zbyt mocno przywyć do życia — teraz oto poczuł zupełnie niespodziewany lęk przed pracą, która go czekała. Czy tylko przed pracą? Może i lubiłby pofilozofować sobie trochę, ale nie czuł już wygody w szerokim hotelowym łóżu. Znowu ów lęk zwałił na chorobę serca.

Na dworze tymczasem pogoda zmieniła się wyraźnie. Do tego stopnia, że skwer na placu opłoniła już całkowicie wrzawa dzieci bawiących się w dwa ognie. Jan, stojąc w piżamie nieopodal okna, przyglądał się zabawie. Przez kilka godzin w tym samym zasięgu spojrzenia zmienić się może aż tak dużo! I nawet słońce wyjrzało zza chmur. Trzeba wyjść i obejrzeć dokładnie miasto.

Ulica Żeromskiego wspaniała się na północ w górę. Wśród kamienic typowych dla dziewiętnastego wieku wyrastały od czasu do czasu budowle bardziej reprezentacyjne, ale zasadą prowincji nie naruszało to w niczym. Myśl niezorganizowanego przechodnia kierowała się wprost do wspomnień z lektury książek własnego Żeromskiego. Jan myślał: mogło się udać tu wiele zdarzeń proponowanych przez tego od niedawna historycznego pisarza. I je-

mieszać w niepotrzebną przygodę.

— Pewnie pan przez cały dzień pracował? — spytał Jan.

— Pracowałem. Było w czym grzebać. Przyjeżdżam tu od czasu do czasu na inspekcję. Kontroluję, żeby tak z grubszą ująć, finanse przemysłu garbarskiego, skórzanego... A pan?

— Ja tu do kuzynki, siostry stryjczej, pożegnać się, bo jadę na nową pracę, daleko od Warszawy.

— Porzuca pan stolicę?

— Właśnie. Mam kilka dni przed sobą, można i tutaj obejrzeć coś niecoś. Ładny park, ładne kościoły.

— Jak w całej Polsce. A mnie się wydawało, że pan musi być artystą albo jakimś prawdziwym podróżnikiem...

— Właściwie pan zgadł. Główna moja sprawa to teatr. A jeżdżę też dużo, w czasie pracy politycznej. Niedaleko, ale dużo. I nawet bardzo jestem zmęczony. Z polecenia lekarzy mam teraz w łagodniejszych warunkach odpocząć. Będę pracował w małym miasteczku, prawie na wsi. Tak, najjeżdżę się sporo.

Kayak usiadł wygodnie na pluszowej kanapie, przytakał kółkami głowy, żeby zachęcić Kłobudzkiego do dalszych zwierzeń.



Rys. Szymon Kobyliński

Ale Jan nie bardzo wiedział, w którą stronę ruszyć, żeby pokazać nowemu towarzyszkowi przeżyte sprawy i rozczarowania. Przypatrzywszy się niby wyjątkowo zdrowej twarzy Kayaka, można i w niej doszukać się zmęczenia.

— Bardzo teraz ludzie pracują — powiedział Jan zdanie przystankowe.

Dyrektor Kayak przytakał. Nad sufitem zaczęło znowu to coś grać monotonnie. Jan nie szukał teraz przyczyn buczenia, lecz próbował odnaleźć wspomnienie kojarzące się z tym tonem. Znalazł. Jest w pewnej sztuce Czechowa złowrogie dźwięki, ni to czajka, ptak, ni to syrena fabryczna... Ten w suficie był inny, a jednak niezdemaskowany — p r z y p o m i n a ł.

— Pan się zamyślił?

— Brzęczy coś w suficie.

— A brzęczy, z mojego pokoju też słychać. Czort jakiś. Jeśli kto tego nie lubi, to mu i trudno zasnąć.

— Ja zasnąłem.

— Ja też.

— W suficie ucichło.

— Już kiedy patrzyłem na pana w pociąg, to sobie pomyślałem: przyjemny gość, na pewno dużo podróżował.

— Podróżowałem, ale po kraju.

— Kraj to i ja mniej więcej znam... Chciałbym kiedyś pojechać daleko. Bardzo daleko.

— Na przykład?

— Do Brazylii. Lubię na filmach oglądać takie, wie pan, szerokie autostrady a z boków żeby były palmy. Ale duże, egzotyczne... Drzewa w ogóle piękna rzecz. A już palmy to szkoda słów. Był pan w Brazylii?

— Nie, w Brazylii nie byłem.

— Bardzo żałuję. Opowiedziałby mi pan wszystko.

— Niedawno byłem na granicy czechosłowackiej, w okolicach Dunajca. Cóż za wspaniałe drzewa widziałem! Słizmy, wie pan, wśród niby łysych gór, niektóre z nich miały sobie taki skromny porost, jak człowiek krótko przystrzyżony; aż tu nagle wśród tego maleństwa wyskakują w niebo przepiękne okazy, niczym pinie.

— Pine!

— Tak. Strzeliste, bez gałęzi prawie, dopiero u szczytu korona, ale jaka! Co by to za drzewa mogły być?

— Na pewno nie palmy.

— No, nie palmy, nie. Ale jednak śliczne.

— Bywają i u nas.

Kayak po tych słowach zamyślił się głęboko. Można było sądzić, że kontempluje widoki układane starannie przez własną wyobraźnię. Potrafimy przecież tęsknić i za rze-

źdź. Mnie nie wolno uwierzyć, że dwa wagony skóry potrafią zamienić się w mgłę. Z tej mgły deszczu nie będzie. A jak pan myśli, ile to człowieka kosztuje, gdy musi sprawę kilku do niedawna uczciwych i znanych osób oddać do prokuratora? Dużo, co? Widzi pan. Bardzo dużo. Strasznie żal ludzi... A właściwie już nawet nie żal, tylko tak jakoś niesmacznie. Wstyd przed samym sobą. I porządek, i łamanie tego porządku to jest jakaś sprawa ogólna. Tak się, proszę pana, czuję, jakbym i ja coś ukradł.

Inspektor patrzył teraz uważnie na Jana.

— A pan to znowu nie bardzo musi być zdrowy?

— Każdy ma swoje zdenerwowania. Przed kilku tygodniami po pewnej konferencji, w której nie chodziło o pieniądze, ani o tak realny porządek, jak ten, o którym pan mówi — ale dyskusja też była ważna i gorąca, zrobiło mi się na ulicy słabo. Upadłem. Potem leżałem w szpitalu miesiąc.

— Zawał?

— Nie. Okazało się, że nie zawał. Coś podobnego w obojwach. Skurcz naczyń wieńcowych.

— Aha. Tak, to musi pan sobie odpocząć... Ja też, jeśli chodzi o serce, nie jestem w porządku. Ma pan pewnie takie nagłe lęki, jakby się coś stało bez pana, jakby pan coś przespał, spóźnił się? Znam, znam. A co do tego buczenia w suficie, to zauważyłem, że tak już w każdym hotelu. Nie trzeba się przejmować. Najważniejsze, że pluskiew tu nie ma. Hotele mamy coraz czystsze. I, na przykład, ludzie z obsługi tu dobrzy. Mnie już znają. No, trzeba iść spać. Niech pan sobie odpocznie. Nie przejmować się!

I drugiego dnia poszedł Jan do mieszkania kuzynki na próżno. Postanowił czekać. Wszystko się tak układało spokojnie w myślach, że zaczął naprawdę odpoczywać. Powody przyjazdu przestały być ważne. Raz decydującą rolę w egzystencji odgrywają cele, kiedy indziej sama, rzecz można, egzystencja.

I nawet miasto podobało mu się coraz bardziej. Chodząc po ulicach, placach, zieleńcach, przypominał sobie ciepłe lata prowincji, które spędził zawsze u rodziców Joanny. Oglądał obficie, chociaż niepomysłowo zaopatrzony sklepy. W jednej z wystaw zwracały uwagę lekkie, kolorowe sweterki. Podobno, jak mu powiedziała sprzedawca, i damskie, i jednocześnie męskie. Nabył trzy takie trykotowe koszulki z myślą o swym wkrótce już nowym mieszkaniu, a nawet pracy. Jak tylko odpocznie, zabierze się do regularnej gimnastyki. Trzeba będzie wziąć jedną grupę taneczną pod szczególną opiekę. Tego się nie uniknie.

Na placu, który stanowił jakby centrum miasta, z głośników sączyły się wyraźne słowa jakiegoś referatu. Znajomy głos. Naturalnie: głos Ignacego. Wybitny znawca problemów oświatowych mówił rozsądnie o konieczności zwrócenia uwagi na licea kulturalno - oświatowe. Jan słuchał wywodów z pomieszczeniami uczuciami satysfakcji i ironii. Był znowu w roli lauffra na szachownicy planu; ten plan to i jego dzieło teoretyczne.

— Zobaczymy — „na praktyce” — przypomniał sobie sformułowanie partyjne. — Patrzcie jno — myślał prawie głośno — wszechwładza radia, ważna społecznie, politycznie stwarzająca także możliwości nowych postaw psychologicznych...

Jan nie był do tej pory nigdy specjalistą od ironii. Ironia ironią, a jednak przyjemnie posłuchać głosu przyjaciela w mieście, do którego tamten nigdy nie przyjeżdża. W mieście aż tak prowincjonalnym, że triumfalne zapewnienia prasy współczesnej o całkowitej likwidacji pojęcia „prowincji” stają się nie tylko wiatry, ale wręcz zabawne.

Wieczorem postanowił iść do kawiarni, która już przez okno robiła wrażenie dobrze zagospodarowanej stacji kolejowej z końca dziewiętnastego wieku.

Na niewielkiej estradzie siedzieli muzycy, mocno ściśnięci. Uwagę Jana skupił przede wszystkim wiolonczelista. Na jego twarzy odbijała się przejęciem każda sentymentalna fraza. Kiedy muzyka proponowała dowiec — ożywały się między policzków i czoła, jedynie oczy pozostawały smutne. Grano wianuszek melodii z oseretek. W okresie największej popularności tych utworów wiolonczelista był młodym człowiekiem, mającym pełne prawo do radości życia. Cała ta prowincjonalna kawiarnia ożywienie swe czerpała z logiki przypominień. W pewnej chwili zagrano stare, klasyczne tango. Rytm oddany został bardzo prawidłowo, z akcentami drapieżności. Nie grwa się w wielkich miastach w taki sposób tego tańca. Toczy się on przez wszystkie parkiety cywilizowanego świata już tylko jako okazja do rozmazanego równoprawnienia i mężczyźni mogą być publicznie sentymentalni.

Interpretacja, którą chwylał obecnie Jan, pochodziła z okresu innych konwencji. I ona przypominała o minionym czasie.

Jan ośmielił atmosferę rozglądał się po sali. Przy jednym zestolków zauważył przystojnego, nie-

młodego mężczyznę w zielonej kurtce o rogowych, myśliwskich guzikach. Gestykulacja zawodowego, pewnego siebie opowiadacza przyciągała wzrok i budziła jakieś dalekie wspomnienia. Śmiałe ruchy rąk miały swój stały punkt końcowy. Opowiadający trzymał między kolanami łaskę; rączka ziemiankiej łaski koncentrowała zarys wywodów. Kiedy pan w zielonej kurtce zapalił papierosa, Jan z dalekich perspektyw pamięci wrócił na ziemie... radomską. Przed wielu laty spędzał wakacje w pięknym majątku pod Radomem. Majątek należał do rodziny Jezierskich; najmłodszy z braci, Karol, był kiedyś serdecznym przyjacielem Jana. Pamięć wrozkowa była podpora pracy artystycznej Jana. Przechowywał w magazynie świadomości wszystkie wyraźniejsze oblicza spotkane w życiu. Twarz człowieka była zresztą dla Jana tylko konieczną częścią pamięci dla zachowania obrazu akcji rąk i innych odruchów ciała. Już w gimnazjum wywoływał entuzjazm, powtarzając gesty kolegów i nauczycieli w rozbudowanej anegdotie pantomimicznej.

Patrzył teraz na dawno poznanego człowieka i organizował w wyobraźni krąg rodziny Jezierskich. Bracia byli do siebie bardzo podobni. Gestykulacja i mimika siedzącego w pobliżu przypominała Janowi co chwila inną sytuację z przeszłości. Myślał o Karolu ze wzruszeniem, mimo że nie był to człowiek łatwy — i mimo że obraz tamtego pożegnania tkwił długo w pamięci Jana jako zjawisko smutne i przykre. Peron dworca, który jeszcze wtedy nazywano anachoniście Dworem Wiedeńskim, Karol palący papierosa za papierosem w pomieszczeniu, bez właściwego sobie stylu, bez dystansu do tego, co się dzieje, a co wymaga właśnie komentarza lub wyznania... Sierpień 1939 roku. Za chwilę przyjdzie Mar- ta, zajmą swoje miejsca w sypialni. Nie wróć. Jan wie na pewno, że nie wróć, wie o tym także Karol. Nie kryje, że wojna, od której dzielą Polskę miesiące, najwyżej rok, jest już dla jego wyobraźni nie do zniesienia. Jan chciał być przyjacielem „bez wypowiedzenia”, obca mu była w tych sprawach taktyka odwrotu czy uniknięcia. Odprowadził Karola na dworzec, pożegnał go na drogę za Ocean. Miał możliwość wyjazdu razem z Karolem i Marią, ale właśnie wyjazd w tym czasie z kraju, to znowu była rzecz ponad jego wyobraźnię. Zgadzał się z przyjacielem w wielu sprawach — w ocenie sensu życia i odpowiedzialności za własny los nie mogli się zgodzić. Mijały lata i z ostatnich wrażeń dworcowych więcej w Janie zostało smutku niż przykrości... Dziś, kiedy patrzył na Stanisława Jezierskiego, nie odczuwał już i tego smutku.

Orkiestra przestała grać, chowając instrumenty. Przy stoliku Jezierskiego zrobiło się pusto, już nie ma godnych swej elokwencji słuchaczy. Oparł brodę o złożone na ławce ręce — przypatruje się Janowi. Chyba poznaje. Trzeba się przypomnieć.

— Nazywam się Jan Kłobudzki.

— Oczywiście, pamiętam! Przyjaciela Karola.

— Tak, tak.

— Co pan robi w tym mieście?

W tym mieście, na które trzeba być skazanym! — pozwolił sobie na patos, po czym dodał: — Albo która trzeba chwalić za opiekę i spokój, tak jak czynię to ja.

— Jestem tu przejazdem.

— Donikąd stąd drogą nie prowadzi.

— Tym ciekawiej tu się zatrzymać... Od godziny podziwiam wasze podobieństwo rodzinne. Karol ciągle w Rio?

— Ciągłe. Ten dziwak tu nie ma powrotu.

— Każdy ma wszędzie powrót.

— Nie bawmy się w sentencje. Przecież pan w to nie wierzy, żeby mógł wrócić. Zdziwaczał jeszcze więcej.

— Nie tęskni?

— Ba! Jeszcze jak. Tego jednego nie spodziewały się nikt, prawda? Niech pan zje jutro u nas obiad. Pogadamy o Karolu. Na długo pan w Radomiu?

— E, nie, na krótko. Skazałem się na zupełnie inną miejscowość. Będę mieszkał prawie na wsi.

— Jak to? Wyjeżdża pan z Warszawy?

— Tak. Już wyjechałem.

— W takim razie tym bardziej musi pan do nas przywieść Nasz dom tkwi już istotnie na pograniczu wsi i prowincji.

Na drugi dzień w porze obładowej wybrał się Jan do państwa Jezierskich. Mieszkali w oficynie brudnej, nietynkowanej kamienicy przy ulicy Głównej. Wchodziło się wąską klatką schodową. Przez częścicowo wybite szyby dochodził jazgot dzieci, które i na tym podwórzu czuły się zwycięskie. Za odpranymi drzwiami był niewielki przedpokój zastawiony gratami o trudnym do określenia sensie użytkowym. Wchodziło się z tej zawieszki zimnej sieni od razu do pokoju, urządzonego antykami. I tu zresztą mebli było więcej, niż logika umebliowania. Na ścianach wielka mnogość drobnych obrazów: ko-

(okończenie na str. 7)

Z paryskiej widowni

(Dokończenie ze str. 1)

widoczne. Widoczne są również ważne różnice. Zespół Fabbri zakłada, że commedia dell'arte podobala się n i e g d y s prostym ludziom i że jej tradycje niesłusznie zostały przez teatr mieszczański zapomniane, co jest sprostowaniem zupełnie uzasadnionym. W rezultacie — trupa ta z werwą galwanizuje ten typ teatru, wskrzeszając przy okazji wszystkie kopniaki, bastonady i starodawne, patentowane ponoć, sposoby wywołania śmiechu. Na szczęście Fabbri robi to z wdziękiem i nie na serio. Znacznie jaskrawiej wystąpił ten zamiar w występach Flamandów w Paryżu. Flamandowie ekshumowali religijne misterium, również popularne niegdyś. W średniowieczu. Nie poruszyli nikogo prócz znawców. Workshop Theatre interesuje się zaś przede wszystkim tym, co się d z i s i a j ludziom londyńskiej ulicy podoba. Z repertuaru klasycznego wybiera rzeczy i sprawy, które ludowego odbiorcę obchodzą, ale pokazuje je na scenie w pełnej świadomości, że ów odbiorca się zmienił, że nabral doświadczenia i śmiałości, że inaczej żyje i czuje, że całkiem inne jest jego materialne otoczenie. Wydaje się, że tylko ta metoda jest słuszną i że praktyka teatralna ją potwierdziła.

Niechęcą dostarczyła tu dowodów również praktyka krakowskiego zespołu. Ten sam styl, w jakim grana była „Zemsta” zaciążył na przedstawieniu „Lata w Nohant”. Było nudnawe i grubo poniżej możliwości tekstu Iwaszkiewicza. Aktorzy nie szanowali umowności, jeżeli była choć odrobinę inna od zwyczajowej, staroświeckiej, iluzjonistycznej. W dekoracji Kanto-ra na wprost widowni stały spore drzewa do gabinetu George Sand. Dalej miała być umowna ściana, markowana nawisłym z góry festonem tiulowym. Aktorzy wchodzili wprawdzie przez owe drzwi, ale z całym spokojem toczyli rozmowy poprzez ową „ścianę”, nie czekając aż partner wejdzie do gabinetu, nie szanując skromnej, ale potrzebnej konwencji, kompromitując samą istotę teatru. Czy potrafia tańczyć tylko od pieca?

Rozumieli przecież dobrze swoje role. Zofia Jaroszeńska grała George Sand z wyborną swobodą gestu, inteligentnie, śmiało. To samo Mrożewski w roli Wodziańskiego. Kazimierz Meres wiedział wszystko o swoim Maurycem i dyskretnie, bez nacisku, ale celnie mówił o tym, widom. I jednak przedstawienie było długie i szare. Dobry teatr to coś więcej niż dobry aktorzy. W tej sztuce pełno jest akcentowanej niefrasobliwości, pełno zdrowego lekceważenia dla fetyszy. Tymczasem rzecz była celebrowana i właśnie kluczowa postać Chopina podana została lżawo — więc szablonowo, w sosie dwuznacznej subtelności.

Sztuka Iwaszkiewicza wywołała jednak znacznie większe zainteresowanie od klasycznej komedii Fredry. W przedstawieniu był przecież odbłask pewnej idei, może w założeniu autorskim nie najważniejszej, ale z paryskiej widowni szczególnie dobrze dostrzegalnej, lotnej i widać potrzebnej. W sytuacjach i tekście „Lata w Nohant”, tej sztuki o Polakach i Francuzach, o sztuce, o żywiołach i temperamentach, i codziennych kolizjach — nie ma ani śladu uniżoności wobec cudzoziemczyzny. Polacy i Francuzi mówią jak równi z równymi. To było nowe. Tę sztukę napisał przedstawiciel i kontynuator kultury, która nie ma żadnego powodu wstydzić się swoich osobliwości, perypetii, wielkich owoców i nawet powszednich małości. Jest w tej sztuce przekorny zamiar wykazania, że brak koturnów nie jest żadnym świadectwem ubóstwa. Z drugiej strony nie ma też w „Lecie” żadnych tonów szowinizmu i prowincjonalizmu. Ten charakter utworu został przez reżysera zrozumiany i gdyby nie parafrański styl przedstawienia — mógłby stać się momentem współczesnym, ważnym w polskich występach na paryskiej scenie.

Ten styl najsłabiej demonstrował Solarski w „Zemście”. Jego Pankin był przykładem zawieszistej teatralnej sztampy.

A może nie warto liczyć się z naukami paryskiego festiwalu? Może po prostu „zenity Zachód” nie docenił tego, co się naszym masom podoba? Gdyby tak było! Mniej — o emfety. Nie zanikłowie oklaskiwali „Mazowsze”, szaleli na występach chińskich, w skupieniu słuchali socjalistycznego moralitetu Brechta. Najważniejsze, że nasi widzowie już grubo wcześniej od paryskich krytyków poznali się na akademizmie i nudzie. O co więc chodzi? O kilka biurokratycznych przesądów i niechęć do samokrytyki. Chodzi również o właściwe poimowanie spraw koegzystencji, współistnienia kultur krajów kapitalistycznych i krajów budujących socjalizm.

Popelniono u nas tysiąc błędów, w czambuł potępiało się zjawiska kulturalne ogromne i złożone, wciąż jeszcze żywe i nie dające się łatwo wpakować do czarnego worka. Sprowdzało się unas

ocenę wybitnych dzieł artystycznych Zachodu jedynie do oceny ich roli w chwilowej grze sił politycznych. Bez względu na właściwą dialektyczną metodę, krytyka w krajach naszego obozu nie brała pod uwagę zmienności funkcji artystycznej znakomitych dzieł sztuki i stosowała podziały czarno-białe, próbując je ustalić raz na zawsze. W białym kręgu pozostawali właściwie tylko bardzo nieliczni artyści, wypowiadający się za polityką naszego obozu. Był to podział kapitulacki i na szczęście nie trwały. Krótko mówiąc — długi czas braliśmy na serio pobożne życzenia burżuazji i zgadzaliśmy się oddać jej w pacht całą prawie kulturę Zachodu, cały prawie dorobek nowszej literatury, muzyki, malarstwa — i to z dobrodziejstwem inwentarza.

Dlatego po stokroć miał rację Mirosław Żutawski pisząc o pilnej potrzebie nadrobienia naszych braków i sprowadzania do naszego kraju książek, gazet, prac naukowych, sztuk i filmów z Zachodu w nierównie szerszej mierze, niż dotychczas. Sprzeciwiać się temu może tylko ten, kto nie wierzy w ludzką rozsądek, w siłę wychowawczą socjalistycznych idei odtąd już działających; ten chyba się sprzeciwi, kto w głębi duszy nie wierzy w słuszność, w siłę socjalizmu i obawia się konfrontacji z faktami, z rzeczywistością obcego świata.

Ta obawa nie ma podstaw. Zamiast wybrzydzać się, izolować, ignorować — lepiej i prościej i pewniej jest przeciwstawić coś własnego. Sportowcy wiedzą, że nie o to chodzi, aby drugiej drużynie zabronić strzelać bramki, lecz o to, by samemu nie puszczać goali i lepiej kopać piłkę. Nikomu siłą swoich idei nie narzucamy, ale gdzie powód, by się ich zaprzec?

To ważne, co przetłumaczmy, jakie filmy i zespoły zobaczymy, jakie znieśmy smętne rogatki — cytadele celników i faryzeuszów. Ale jeszcze ważniejsze, co damy sami światu, z czym sami przyjdziemy do ludzi, czym uderzymy do ich serc na szerokim świecie. Nie co innego, tylko socjalizm zapewnił naszym krajom niemożliwe w żadnym innym wypadku tempo rozwoju przemysłowego, technicznego, społecznego. Nasze propozycje w tej dziedzinie mają na poparcie uderzające dowody materialne. Każdy prosty człowiek to rozumie coraz lepiej i właśnie dlatego naszym wrogiom tak zależało na wszelakich żelaznych kurtynach, na izolacji, na zimnej wojnie. Z drugiej strony — nie ludźmy się, nie od razu prześcigniemy świat kapitalistyczny w sprawach, które ogólnie nazwać można sprawami s p o ż y c i a. Mamy za to niewątpliwie większe możliwości w dziedzinie bardziej decydującej, widocznej, ważniejszej dla przyszłości rodzaju ludzkiego — w dziedzinie twórczości. Mowa o tworzeniu nowych wartości obyczajowych i naukowych, technicznych i organizacyjnych; również artystycznych. Mowa o całej dziedzinie działalności ducha ludzkiego, który tylko w naszym socjalistycznym świecie świadomie i z pomocą całej machiny społecznej wyzwala się z przekłetej zależności od ślepych i niesprawiedliwych materialnych ciężarów. Tu, w tej dziedzinie, śmiało możemy stanąć w szranki do prawdziwie szlachetnej rywalizacji, do walki o lepsze. Bo współistnienie i e s t rywalizacja — nareszcie pokojową, uczciwą, złączeniem obudy i lipy. Nie jest współżyciem jednego systemu z jego grzeczną, wtórną i potulną imi-

tacją. Jest dyskusją. Każde inne pojęcie o współistnieniu jest złudzeniem filistra. Tej dyskusji słuchają ogromne masy na świecie. To one będą decydować. Muszą i chcą znać stanowiska dyskutujących. Muszą i chcą ocenić, kto w tej dyskusji ma rację. Śmiało, pokojowa polityka komunistów, przywódców naszego obozu, zmusiła do tej dyskusji nawet tych, co chcieli-

sze od innych, bo zwięźlejsze i do-
stępniejsze powszechnemu zrozumie-
niu.

Kierunek, skala postępu, szybkość nowych, błogosławionych przemian, wektory naszej pracy w dziedzinie oświaty i kultury są wcale nie mniejsze niż w przemyśle. Mamy wszelką możliwość dowiedzieć, że wzięliśmy się do pracy, aby dać ludziom nie tylko więcej chleba,

szczęsnym teatrem? To ważna dziedzina. Stan teatru jest najczulszym wskaźnikiem sytuacji w polityce kulturalnej. W teatrze trudniej o p o z o r y pomyślności, niż np. w takim filmie. W filmie dobrze wkomponowane elementy rzeczywistości nadają akcenty autentyzmu ludzkim sprawom, nawet gdy te są wyszane z palca. W teatrze wszystko zależy od żywego aktora,

Majakowski jednych oburzał, innych zachwycał. Ale nikogo nie nudził i we wszystkich budził szacunek.

Nikt na świecie nie jest ciekaw tego, czym przypominamy cudze wzory, zwłaszcza dawno uprzykrzone. Ciekawość budzi za to wszystko, czym różnimy się od innych. Dochodzi tu aż do śmieszności. Po wyjściu z kina na bulwarze Saint Michele, gdzie wyświetlano „Piątkę z ulicy Barskiej”, powiedział mi poważny lekarz paryski: „No, te sceny miłosne... To się u nas lepiej robi. Te historie o szalonych matce i o przełomie w młodym przestępcy też już skądś znam. Ale za to to zebranie na budowie! Albo te sceny z koparką! Czy na rusztowaniach murarskich! To wspaniałe! Tego się u nas nie widzi!” Jak wiadomo, nie te sceny należą do najmocniejszych w filmie Forda i Koźniewskiego. I jednak.

Cóż dopiero, gdybyśmy właściwy użytek zrobili z tego w czym jesteśmy naprawdę mocni! Ma rację Jastrun. Nasz Leon Schiller bił swoimi koncepcjami na głowę przeciętny teatr zachodni. Nie tylko ten cuchnacy naftaliną. Decyzją Międzynarodowego Instytutu Teatru powstał Teatr Narodów w Paryżu. Kieruje nim nasz przyjaciel / M. Julien. W tym teatrze możemy mieć co do pokazania. Stanisław Witold Balicki słusznie zabrał się do pracy długofalowej. Wie, że nie od razu przełamię przeszkodę nagromadzone w rezultacie wieloletnich potknięć, błędów i zaniedbań. Musi mieć czas i oddech na zmiany; teatr polski musi mieć pomoc krytyki, środki i co najważniejsza — poparcie dla każdego nowego i śmiałego przedsięwzięcia, bo tylko te błędy zastępują na surowość, które płyną z konserwizmu. Ten przełom winien nastąpić. Już dziś trzeba mu torować drogę. Oto pierwsza propozycja w sprawie Teatru Narodów i naszego w nim udziału. Niech jedzie w roku przyszłym do Paryża komplet inscenizacji Leona Schillera. Niech pojedzie wspaniała „Burza”, i „Krakowiacy i górale”. Dysputujmy, czy posłać „Cestynę” albo „Igraszki z diabłem”. Wskrzeszenie tych wybornych dzieł jest realne i możliwe. Próby już się powiodły. To jest już nasz trwały wkład do kultury teatralnej. Wkład ludowego teatru. Jeśli wystawiona będzie jeszcze i jakaś sztuka współczesna (w tym roku byłaby jedyną festiwalu!) to...

Bo owa istotna, ważna dla wszystkich ludzi dobrej woli *differentia specifica* nie polega tylko na folklorze, cześćnikowej szabl i podkreśnianiu wasy. Ba, ale na czym polega? Tym, co stanowi sprawę najbardziej interesującą i pasjonującą ludzi Zachodu (nie tylko naszych przyjaciół) — jest nasz socjalizm, jego drogi, efekty, nadzieje i wpływ na człowieka. To też nasza dzisiejsza specyfika narodowa. Oto sprawa, której śladów w n szej sztuce szuka każdy — od paryskiego korespondenta wielkiej nowojorskiej gazety — do górnik, który przyszedł w Lille za polskim kolegą na występy teatru z ludowej Polski.

Teatr Krakowski przyjechał do Paryża z jednym wykopaliskiem ze zmyślonej epoki i jedną dobrą, solidną, tradycyjną sztuką psychologiczną. Cokolwiek leżało u podstaw tego wyboru, jedno jest jasne: ostrożność i układowy wysiłek w bokiem. Przyjaciele — z nadzieją, a wrogowie — z obawą oczekiwali, że pokażemy przede wszystkim jakie możliwości rozwoju w europejskim państwie otwiera socjalizm kulturalne, sztuce, twórczości. Nie rzy zaspokoiłimy te obawy i nadzieje.

To Chińczycy dowiedli, że od socjalizmu zależy przywrócenie blasku tradycji artystycznej.

To Brecht wykazał, że socjalizm może zapewnić jej nowy, świetny, twórczy rozwój.

Jerzy Pomianowski

Paryż — Warszawa, sierpień 1955.

P. S. FOOLPROOF CZYLI OCHRONA PRZED PSUJAMI.

Kol. Torquemato! i kol. Kapłan Czystej Sztuki raczą zauważyć, że:

- nie twierdzi, iż tradycji trzeba się wyrzec, tylko, że trzeba ją rozwinąć.
- nie nawołuje artystów z powrotem do tzw. produkcyjniaków, tylko twierdzi, że bezideowość nie imponuje już nawet snobom.
- wcale się nie sprzeciwiam szerokiemu naphywowi książek, sztuk i filmów z Zachodu, tylko twierdzi, że musimy coś dać w zamian.
- nie podważam zasad realizmu socjalistycznego, tylko twierdzi, że musi on być przede wszystkim realną pomocą socjalizmowi.

J. P.



Flamandowie starannie ekshumowali średniowieczne misterium. Nikogo nie nawrócili.

by zamknąć nam usta, widocznie po to, by nie mieć przeszkód w fałszywej grze. Rzeczność jest najlepszym argumentem w tej dyskusji. Ale nasamprzód trzeba stworzyć fakty, potem o nich gadać. Dyskutujmy. Gadajmy. Byle swoim głosem. Kompromituje w tej dyskusji nie surowość argumentów i nieodporność aktów twórczych. Wiadomo przecież, że dopiero zaczynamy, że jesteśmy na dorobku; wiadomo, że decyduje nie chwilowy stopień rozwoju, ale jego kierunek — tak samo w budownictwie mieszkaniowym, jak w teatrze. Kompromituje tylko niesamodzielnosc i jalożniwa twórcza.

W światowej dyskusji argumenty z zakresu sztuki, zwłaszcza z dziedziny teatru i filmu są skuteczniej-

praw do ludzkiego życia, szkół i nowych mieszkań, więcej miłości niezmaconej przez pieniądz i głód — ale i więcej zaufania do własnych talentów. Aby dać nowy, bardziej ludzki model całego świata uczuć, wzruszeń i myśli, jaki stworzyć może tylko sztuka. Obejdzie się bez propagandowych deklaracji. Dość dać dowody samoistności, żywotności rozwoju naszej myśli twórczej. Mamy tę możliwość, bo w pracy biorą u nas udział pospółci wszyscy, bo nareszcie wyzwolone zostały wszystkie talenty ludu, które przez wieki marnowały się obracając żarna wyzysku. Z tej drogi usunęliśmy więc główne przeszkody. Czy nie ma innych? Czy tylko materialne przeszkody istniały? Czemu w takim razie krucho choćby z tym nie-

od spraw ludzkich w ścisłym sensie. Tu nie da się ukryć fałszu i strachu przed prawdą.

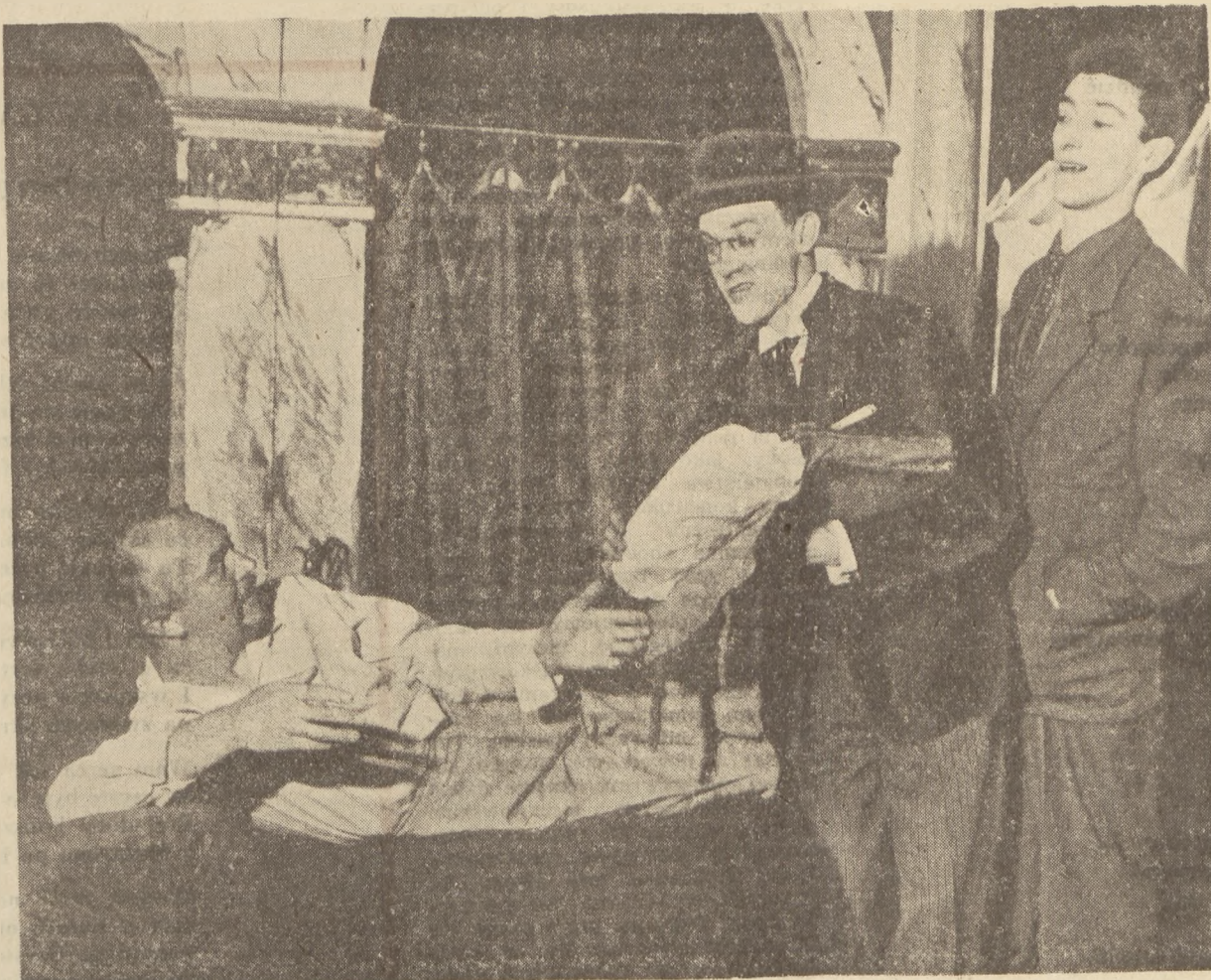
Jakież to propozycje nasz teatr zaprezentował? Jaką z jego występów można było odczytać koncepcję współistnienia? Co obiecujemy ciekawemu światu? Że socjalizm zachowa i odkurzy Fredrę? A niech to drzwi ściną! To minimum, czym się tu chwalić? Przecież nie tylko o to chodzi, żeby odeprzeć ataki akurat najgłupszych naszych wrogów, którzy już dawno przestali bając, że nie istnieje Nowa Huta i Wydanie Narodowe Mickiewicza; chwycili się już znacznie przewrotniejszych argumentów.

Gramy klasyków? Wiemy, jak 50 lat temu budowano dekoracje? Jest u nas wszystko „jak u ludzi”? To dużo tylko wobec oszczędności i wobec naszej nieudolności. To mało wobec nowych praw, możliwości, ambicji. Mało wobec nadziei ludzkich, których nikt inny oprócz nas nie zaspokoi.

Perspektywa pokojowego współistnienia nie oznacza dla nas żadnego zwolnienia od pracy ideowej, od konieczności politycznego myślenia. Przeciwnie, zmusza do wprowadzenia wszystkich rezerw, do mobilizacji wszystkich talentów i sił twórczych narodu. Nie ma już izolacji, rabatów prowincjonalnych, kwaśnych winogron. W ucziwym pokojowym współzawodnictwie trzeba wykażać, że socjalizm lepsze i przedsie daje ludzkości nadzieje na sprawiedliwość, postęp, nieskrępowaną pracę ducha.

Co w dziedzinie sztuki przekłada nam w tej mobilizacji, krepuje nasze ogromne siły? Po pierwsze — przesady i ograniczenia estetyczne, system formalnych norm i zakazów. Ale to pół biedy, to minie stopniowo, jak stopniowo przyszło. Po drugie — to ważniejsze — przeszkadza nam bzdurne przekonanie, że koegzystencja wymaga ukrywania naszych idei, uczuciowych zamiarów, słusznych, sprawdzonych zasad i przekonań. To krótkowzroczne, a ten tylko ma skutek, że demobilizuje artystów ideowych i stanowi jeszcze jeden bodziec dla oportunistów.

Kto uwierzy, że socjalizm to tylko pietizm dla tradycji, układowość, akademizm, potulność ideowa? Dawniej zarzucali nam durnie, że mamy nóż w zębach. „Jaki nóż? — odpowiada durniom inny durni — my w ogóle zębów nie mamy!”



„Workshop Theatre dostosował klasyka ludowego Ben Jonsona do pojęć dalszej ulicy. Udało się,

JOANNA SIERPIŃSKA

Poemat dla młodych

W odpowiedzi na wydrukowany w „Nowej Kulturze” „Poemat dla dorosłych” Adama Ważyka nadszedł do redakcji „Poemat dla młodych” Joanny Sierpińskiej. Ujęci żarliwością naosianego utworu — niewątpliwego debiutu — postanowiliśmy go opublikować pomimo niedostatku formalnych i chropowatości.

„Otrzymaaliśmy w tej sprawie również wiele listów, — omówimy je w jednym z najbliższych numerów.

Prawda. Mieliliśmy słowa najdroższe
aż się w suche trociny uatrą
ale jest przecież poza słowami
ostre: dziś i gorące: jutro.

Łatwo wskazać palcem na śmieci
kiedy płyną skorupą brudną
ale znaleźć pod nimi nurt
co porywa je z sobą — trudniej.

Wielka rzeka i wielki wiatr
muszą z sobą stary pył zabierać.
Nie łatwe, nie łatwo od krów
odchodzić do konwejera.

Ale widzieć zmarszczki, czuć pot,
a nie dostrzec z r obionego kroku
można tylko, gdy się patrzy z łóż
można tylko, gdy się patrzy z boku.

* * *

Nie znam dawnej Warszawy.
Ale za to Łódź jeszcze pamiętam.
Czarne panny na Cegielnianej
czekające w bramach na klienta,
kobiety o włosach z bawełny
(nad ranem do fabryk jechały
żadna nie była młoda
były tylko czasem niedojrzałe)
czarne, tłuste rynsztki,
delegatów aresztowanych,
sklepiki cuchnące śledziem
i skupujących galgany,
drzewa szumiące za bramą
u Poznańskiego w pałacu,
bójki w knajpie Olimpia
i czekających na pracę
i miejsce gdzie Żydów bito
— na Dowborczyków nie chodzić!! —
Nie lubię wspominać Łodzi.
Nie chcę wspominać Łodzi.

* * *

Rozstrzelano mi moje dzieciństwo
Mam na ręce oświęcimski numer
odebrano mi matkę i czułość
i z zębami wybito dume.
Noszę z sobą spalony dom
Plamę z sadzy po ludziach tłustej.
Malo mam. Ale bierzcie co mam!
NIECH NIEBO NIE BĘDZIE PUSTE!

Są krzywicze dzieci w suterynach
dzieci, którym jabłka są za drogie
ale mają matkę i chleb
ale znają tylko dobry ogień
jeśli trzeba na te jabłka czekać
jeśli trzeba im odjąć od ust je
lepiej tak — niż poznać smak krwi
NIECH NIEBO NIE BĘDZIE PUSTE!

Odrzutowiec dużo kosztuje.
Grzyb na ścianie. Zmęczone oczy.
Odrzutowiec dużo oszczędza.
Ziemię, ludzi, którzy są drodzy
Odrzutowiec dużo kosztuje
Złobi w twarzach jak w niebie brudę
No i niech! A choćby i więcej!
I NIECH NIEBO NIE BĘDZIE PUSTE!

* * *

Wstręt we mnie budzą
ci ze świecznika
co przez nich przestaje świecić
ci co zrzienają
za parę nówek
żonę i matkę dzieci.

Wstręt we mnie budzą
ci partyjniacy
którzy się wspięli wysoko
i zachlystując się
socjalizmem
cichutko mrużą oko.

Wstręt we mnie budzą
ci co chcą naród
gdy im się milczeć opłaca
ci co sprzedali
prawdziwe życie
za garść ewaniackich zasad.

Wstręt we mnie budzą
ci co chcą naród
poklepać po ramieniu
ci co nie znają serca narodu
i nie potrafią go cenić.

W mordy bym biła
w tłuste, rumiane
zadowolone, zasobne
tych co potrafią
nawet socjalizm
rozmienić na brudne drobne.

Nie będę pisać wierszy zgryzoty.
Sama chcę zmieniać życie.
Nie będę pisać wierszy zgryzoty!
I nie chcę się gryźć. Chcę bić się.

* * *

Idę ulicą Świętokrzyską
czarną i złotą od latarni
a ludzie złoci są i czarni
i pałac bieli się tak blisko
że choćby dotknąć go palcami.

Pod pałacem kultury
noc idzie w krzaki
cicho szumią fontanny
pod pałacem kultury
długowłose chłopaki
malowane panny.
Na Bielanach
drzewa, Wisła i mrok
lipiec dojrzały jak wiśnie
owoc spada prosto w ręce
często się
zerwie, potrzyma, ciśnię.

Chwała za to,
że są noce soczyste
nie potrzeba na ziemi anielic.
Nie starliśmy błota z miłości
tego jeszcze wciąż
nie umiemy.
Ale przyjdzie lipcowy czas
przyjdą noce
jak czarne wiśnie
i będziemy kochali w nie
mocniej
człowieczej
czyściej.

* * *

Są ludzie
w białostockim
zakładają spółdzielnie
trudno się nowe zaczyna
na zebraniach
milczenie
jak pięść zaciśnięta
trzeba je
po palcu rozginać

Są ludzie
w bydgoskim
skupują zboże
zboża potrzeba więcej
(jak karać chłopą
jeśli chłop ma
szczerńale,
stwardniałe ręce?)

Są ludzie w fabrykach
Pracują, klną
Kochają
Kłócą się, marzą
Myślą, że są
po prostu ludźmi
nie myślą,
że są
kaszą.

Są
na budowach
młode dziewczyny
wrą się do życia
łakną
nie wiedzą
jak się
najmocniej w nie wgrzyźć
nie myślą
że pachną
jak wapno.

Są w dole
górnicy
i wiedzą, że
wróg może ogień obudzić
to nie jest
nawóz historii
to są
po prostu
zwykli ludzie.

Są nauczyciele
w dalekich wsiach
i przepędzają znachorów
tęsknią za miastem
tęsknią za domem
w grudniowe
wiejskie wieczory.

Po pracy
idą z dziećmi
do domów
zmęczone sennie kobiety.
Cóż... nie czytują poematów.
Najwyżej czasem
gazetę.

O świecie
ciężki
roboczy dzień
niedokończone sprawy —
będą rozstrząsać
dorosłość ich
mędracy
przy czarnej kawie.

Joanna Sierpińska

TADEUSZ KONWICKI

Nad książką emigracyjną

C hyba to już rok temu, gdy przeglądając prasę emigracyjną i uwagę moją zwróciły trzy pozycje: artykuł profesora o potrzebie regulacji urodzin w Polsce, co radykalnie poczyniłoby dobrobyt narodu, cykl nienawistnych wierszyków młodego poety, który oczami wyobraźni widzi nas jako agresywnych głodomorów czyhających na syty zachód i odezwa nieznanego mi literata Janusza Jasieńczyka, wzywająca czytelników do składek na wydanie jego książki „Słowo o bitwie”. Polityczony tą lekturą napisałem felieton „Co słysząc u emigracyjnych dobrodziejów” podpisany literkami „lak” a zamieszczonym w „Nowej Kulturze”. Dość grubiański potraktowałem tam emigracyjnego pisarza Janusza Jasieńczyka, o którego istnieniu dowiedziałem się dopiero z tej odezwy, choć książka jego, „Po Tobruku był Narwik”, ukazała się w Polsce zaraz po wojnie. Zgniewała mnie po prostu troska o nasze żołąki ludzi, którzy proszą o wsparcie przy wydaniu własnej książki. Stąd też niewybredność stylistyki felietonu.

I oto tego roku, w przeddzień wyjazdu na wakacje, w wężono mi w redakcji zagraniczną przesyłkę. Zawierała ona nowiutki egzemplarz powieści Janusza Jasieńczyka „Słowo o bitwie” wraz z następującą dedykacją: „Niezanemu Towarzyszowi „lak”, który w Nr 25 „Nowej Kultury” z r. 1954 wykpił subskrypcję na tę książkę, posyłam ją — z miłymi pozdrowieniami — aby mógł sobie poczytać trochę „formalistycznej” i „reakcyjnej” literatury (o ile polityczny pozwoli). Londyn, 19.V. 1955. Autor. P.S. Nota bene prowadzi mi się nienajgorzej. Wpłaty Pana nie otrzymałem i nie oczekuję”.

Spodobał mi się gest Jasieńczyka. Korzystając z pory urlopowej, podczas której politycy osłabiają swoją czujność, skryłem „Słowo o bitwie” na gnie walizki i wyjechałem nad jeziora Augustowskie. (Pięknie tam naprawdę i ludzie mi bliscy, wschodni) Przy zasłoniętych szczerlnie oknach jałem oglądać na letnisku przyslaną mi z emigracji książkę. Pierwsze wrażenie było niekorzystne: na obwołucie wyjątki pochlebnych opinii o autorze, dalej portret Jasieńczyka, szczegółowy wykaz subskrybentów, motto, podziękowania pisarza „za bezinteresowne...” itd., dedykacja i wstęp wyjaśniający, w jaki sposób należy czytać książkę: „...A więc wszystkie fragmenty dotyczące dowodzenia, to jest te części akcji, które dzieją się na punkcie obserwacyjnym dowódcy pierwszego baonu — rozpoczynają się od kropki (.....) wszystkie zaś opisy poszczególnych etapów bitwy na określonych odcinkach z częstymi wycieczkami w przeszłość — od kresek (———). Dwa rozdziały mieszane oznaczono kreskami i kropkami (—...—...—). Chcąc więc zapoznać się najpierw z przebiegiem bitwy, widzianym i przeżywanym przez dowódców i ich sztaby, można — i bodaj należy — zacząć od kolejnego czytania rozdziałów oznaczonych kropkami i kreskami wraz z kropkami, by później zanurzyć się w świat poszczególnych ludzi i walczących oddziałów — czytając już wszystko”. Jeśli do tego dodać jeszcze enuncjację zamieszczoną na końcu powieści: „Książka, którą masz w ręku, nie jest produktem przemysłowym, ani wynikiem jakiegokolwiek polityki lub propagandy. Została ona napisana przez wolnego pisarza...”, jeśli wziąć pod uwagę zastrzeżenie się autora we wstępie, że utwór ten „jest dziełem fikcji, czyli urojeniem, jeśli kto woli — tworem wyobraźni autora”, to trudno się dziwić, że obejrzawszy dokładnie tę ornamentykę, te wszystkie sosy i przypawy książki, zniechęcony odłożyłem „Słowo o bitwie”.

Po jakimś jednak czasie zmobilizowawszy cierpliwość, wziąłem się do lektury powieści, a raczej — jak tego chce autor — „tryptyku powieściowego”. I bardzo się miłe rozczarowałem. Pod maniakalnym, dziwnym opakowaniem znalazłem rzetelną, ciekawą, dobrze napisaną prozę.

Powieść Jasieńczyka przedstawia bitwę polskiej brygady o wznieśienia El Alagi gdzieś w pustyni afrykańskiej, wznieśienia bronione w czasie ostatniej wojny przez Włochów i Niemców. Książka ta pomyślana została jako epos bitwy, jako pieśń nad pieśniami bohaterstwa Wielkiej Wojny. Już sama konstrukcja tryptyku jest majestatyczna i monumentalna, przypomina chociażby tolstojowską relację spod Borodina. Widzimy tu ruszające do natarcia kompanie i plutony, obserwujemy ich manipulacje strategiczne niczym manewry dawnych pułków i korpusów, poznajemy się z oficerami i żołnierzami odnajdując ich losy człowieczy w bitewnym zgiełku. Ten traktat o nowocześniejszej wojnie sil się na obiektywizm, ukazuje nawet ludzi broniących faszystowskich pozycji. Minuta po minucie, rzetelnie, z dziwną dokładnością śledzi Jasieńczyk losy bitwy. Jej kilkunastu dramat jest trzonem tryptyku. Pierwsza część dzieje się w szpitalu polowym. Jest punktem wyjściowym dla retrospekcji, część trzecia równie faktyczna, to powrót do szpitala, gdzie odbywa się

— mało zresztą ciekawa — dysputa o bohaterstwie. Jak więc wiadać, sama budowa świadczą o powadze zamierzeń autorskich. I konstrukcja ta, nocno czasem kulająca, jest chyba tym „formalizmem” Jasieńczyka, tym artykułem u nas zabronionym, który miał mnie zaszokować. Ale, trzeba to powiedzieć, lepsze „kawałki” formalistyczne robimy sami w kraju.

Natomiast warstwa epicka, tkanka prozatorska powieści jest interesująca i dobrej marki literackiej. Losy ludzkie, pointujące się w tej bitwie, są frapujące, obrysowane nie byle jakim pazurem. Jasieńczyk świetnie posługuje się satyrą, która często przechodzi w groteskę. Jak on pysznie zna i jak kapitalnie umie pokazać tych zawodowców wojennych: starych podoficerów, zupaków, skrzętnych budujących swoją szczyrą karierę w chwili bitewnej grozy, oficerów ięgionowych, których nowy czas wysadza z siódła!

Umie Jasieńczyk wzruszająco zatrzymać się nad dołą pokrzywdzonego, umie ująć się za nim. Czyny to z agresywną przekorą, szuka skrupulatnie tych elementów, z których się składa bohaterstwo ludzkie. Sporo w tym trudzie literata widzę szlachetności, rzetelnej prawdy, które stanowią o randze pisarskiej.

Autor poza kartami powieści chwali się swoją apolitycznością, z satysfakcją podkreśla własną wojność. Ale dobre pióro nie wyrzuci długiego w kałamarzu z destylowaną wodą. Dzisiaj trudno obronić swą indywidualną swobodę, dookola żyją ludzie, których nurtują płaskie sprawy polityki, wulgarnie problemy społeczne. Rasowemu i, arowi ciężko bronić niezależności. I Jasieńczyk wdaje się w polemikę. Przejeżdża się uczciwie po sanatorach. Epizod z kapitanem Cios-De Chitrym, starym legunem i kombinatorem sanacyjnym, należy do najlepszych w książce. Dla nas to już traci trochę myśkłą. Poszliśmy w kraju daleko w przód, raczej nas bawi współczesny poeta smagający bicem satyry feudalizmu. Przypuszczam, że i na emigracji wątki te nie przysporzą Jasieńczykowi wielu wrógów. Nikt już chyba tych sanatorów nie broni. Ale łobuzów ideowych, polityków wojennych książka Janusza Jasieńczyka z pewnością rozsierdzi. Nas ich dobrze w kraju, podczas okupacji sprzedawali za niewygodowaną cenę naszą krew.

W d-d-k.cji mnie przypisanej zapowiada autor, że książka jego będzie „reakcyjna”. Muszę się z nim częściowo zgodzić. „Słowo o bitwie” zbudowane zostało bardzo misternie. Ale dziwna rzecz, nieprzyjacieli, który morduje kolegów Jasieńczyka, potraktowany został beznamietnie i sprawozdawczo. Przypomina mi trochę sparring — partnera z ringu bokserkiego. Jest on tylko niezbędnym elementem dla eposu żołnierskiego. Muszą przecież skąć padać kule na pole, gdzie leżą ludzie rachujący swoje życie w godzinę śmierci. Natomiast z dużym jadem i gorliwą nienawiścią wspomina Jasieńczyk Związek Radziecki, który o tysiące kilometrów od Afryki krwawi w walce z tym samym przeciwnikiem. Jak każde niekontrolowane uczucia wyrwają się te fragmenty z subtelnej, spójnej całości. Względy artystyczne powinny przecież były podkopywać skreślenie tych nieoponowanych, histerycznych cacuszek. Ale, obawiam się, że jest to autorskie porte-parole, ukłon wolnego pisarza wobec jakiejś opinii emigracyjnej. Bo przecież gdyby Jasieńczyk chciał obściskać Związek Radziecki, mógłby przy swym wyrobieniu literackim uczynić to staranniej

Szukając filozofii w tej książce, śledząc jej propozycje myślowe, doszedłem do przekonania, że ta nasza starsowiecka teoria walki klas nie jest taka głupia. Gdyby się z nią Jasieńczyk w skrytości ducha pogodził, dużo spraw w Wielkiej Bitwie łatwiej byłoby wyjaśnić. Może nawet udałooby się utalentowanemu pisarzowi zaproponować coś dorzecznego współczesnym. A tak musimy się zadowolić letnią wodą westchnień do tej naszej kochanej Polski mocarstwowej, w której wszystkie nacje miłują się nawzajem i pomagają sobie ile wlezie budując własne kultury, wręcz piją sobie z ustek. W epizodzie Janika Mikołajcia, naiwnym i sielankowym, aczkolwiek ładnie i wdzięcznie zbudowanym jak nie-reality, starsowiecki bibelot, autor przedstawia właśnie taki raj na Wileńszczyźnie przed wojną. Od czasu do czasu głupi, źli ludzie mają harmonię tego czarodziejskiego ogrodu, lecz autor widzi w tym tylko złą wolę pewnych jednostek, które gdyby zastąpić, kto wie, czy nie potoczyłoby się wszystko inaczej. Niech mi znany autor wie, że mimo wdzięku tej sekwencji, musiałem się trochę pusić. Urodziłem się na Wileńszczyźnie, do 1945 roku dzielłem jej losy. Rozegrała się tam wielka i skompikowana bitwa klasowa. Oczywiście pan mruka okiem, że jak przyszła Armia Czerwona... Nie, nie, autorze, dużo wcześniej, podczas okupacji niemieckiej, kiedy wyrzynało się tam z pięć narodów w oparach faszyzmu. W losach tej „iem” nasza myśl polityczna nie najkłęszp odegrała rolę. Moje pokolenie, w maturalnym wieku poganiane po lasach, trochę inaczej na to patrzy.

A więc tęsknota do wyimaginowanego, słodkiego współżycia narodów w aszej kochanej ojczyźnie. Nieboga ta propozycja ideologiczna. Ponadczasowy problem bohaterstwa? Też nie dla nas. Rozwiązaliśmy go w lesie. Nie lubimy mis. Ki, postanowiliśmy żyć na ziemi. I co jeszcze? Przepraszam za nachalność, ale znaleźliśmy się w czasach tzw. historycznych, dookoła gorąco, nie mamy czasu na subtelne zadumy.

Zcześnie mi się, że jest to bardzo ambitne — zachować wolność swego pióra w taki czas. Ale dokonając tego można tylko po złamaniu obiadki. Szanujący się pisarz musi się opowiedzieć za którąś ze stron. Historia osądzi słuszność jego wyboru.

Książka Jasieńczyka wydana została co prawda w niewielkim nakładzie (subskrybenci zamówili 446 egz. — ile ponadto wyłożył autor — nie wiem), ale za to niezwykle starannie: piękny papier, doskonały druk, świetna oprawa. Z zadością ją oglądałem. Nasze książki drukuje się tandetnie, choć typografia polska poprawia się z wolna.

Tych nienadzwyczajnie wykonanych egzemplarzy rozeszło się jednak kilkadziesiąt tysięcy. Niezła książka ma u nas cztery, pięć wydań, zawsze paręset tysięcy czytelników z nią obcuje. Daje to pewną siłę pisarzowi, wiąże go z losem własnego narodu, tworzy — być może te tkanki jego pracy, które decydują o przetrwaniu. Tym bardziej, że na naszym okęcie oddaliśmy się coraz bardziej od starych brzegów historii. I coraz częściej zdarza się nam to, co mi się przytrafiło przed rokiem, kiedy — daleki jego troskom emigrancem — ubliżyłem utalentowanemu pisarzowi z Londynu. Pozrawszy go bliżej w „Słowie o bitwie”, szukałem dziś w jego książce treści nam wspólnie bliskich, konstruktywnych.

Tadeusz Konwicki

JAN GAŁKOWSKI

Na odejście Sergiusza Prokofiewa

Niczego się nie boję —
chodziłem tu szczęśliwy.
Na niebie gwiazdy — moje
tonacje migotliwe.

Ja, w pieśni zakochany
tam, gdzie się pieśń poczęła
zostaje, pod brzożami,
przy Juliach i Romeach.

przy wielkim miłowaniu,
co skruszy nienawisć.
Tu — moje pożegnanie,
ta garść brzożowych liści.

I żart i ból szeroki
są w moim fortepianie.
I wszystkie pory roku —
na zwinnnych skrzypcach grane.

Wam serca tak stroilem,
by czyste były w brzmieniu.
Posiadłem kunsztu, w tym byłem
z Mozartem po imieniu.

Obejmą mnie nokturny,
com w nutach nie pomieścił —
poniosłem. Czyste struny
do końca opowieści —

O hotelach robotniczych — bez osłonek

(Dokończenie ze str. 2)

ku chłopców, ściśle żołnierscy... A w Bielsku dziewczęta przez okno wypuszczały kawalerów i otwiercie twierdziły, że nie brak w tej miejscowości ustronnych pagórków i ukrytych w fałszywym terenie... Słowem, wszędzie tam, gdzie nie ma rzetelnej, umiętej pracy wychowawczej, wszędzie tam, gdzie kierują Domami ludzie nieprzygotowani, ludzie nie umiejący rozmawiać z młodzieżą, zrozumieć jej, wzbudzić do siebie zaufania, tam gdzie panuje wszechwładnie nuda, tam ma się do czynienia z chorobliwym erotyzmem, z rozwiązłością, rozpustą, pijanstwem i bijatykami.

Trzeba pamiętać, że wiele młodzieży przyjechało do miasta, wstąpiło na kursy przysposobienia zawodowego właśnie po to, by jak najprędzej wyzwolić się spod opieki rodziców; że wielu wprost uciekło z domu; że jest wśród nich spory odsetek sierot i półsierot; że większość ma za sobą najwyżej 4—5 oddziałów szkoły podstawowej i nie dobrego ze swojego środowiska nie wyniosła... I gdy się ma kierowniczkę, która nawet tego nie rozumiała, że w pokojach wieloosobowych (w pokojach mieszka od 6 do 12 dziewcząt; pokoje są duże) trzeba mieszkających rozmieszczać według zmian, że nie ma sensu, by dziewczęta pracujące na różnych zmianach mieszkaly w tym samym pokoju, bo wtedy nigdy porządku nie będzie, zawsze będzie tam ktoś spał a ktoś inny będzie mu w odpoczynku przeszkadzał — trudno mówić, że jest to „właściwy człowiek na właściwym miejscu”.

Wniosek: trzeba zaprzestać praktyki posyłania do pracy w Hotelach Robotniczych ludzi, nie naciągających się do żadnej innej pracy w przedsiębiorstwie. Trzeba na kierowników tak odpowiedzialnych instytucji typować ludzi, którzy tę pracę lubią, jej wagę i znaczenie rozumieją, a posiadają dość inteligencji, wnikliwości, serca, by młodzież pozyskać, uaktywnić i poprzez wzbudzoną aktywność wychować.

O rozbiciu rodzin i o tym co powstawaniu rodzin przeszkadza

W Domu Młodego Robotnika Pawława odbyła się nie tylko jaka uroczystość. Odbył się ślub cenionego aktywisty hotelowego i dobrego robotnika. Ślub odbył się w świetlicy Hotelu, a niemal wszyscy jego mieszkańcy byli uczestnikami uroczystości. Ich to bowiem skłaki złożyły się na tę bogatą ucztę poślubną. Zaangażowała się również to wesele dyrekcja fabryki przydzielająca młodemu małżeństwu — zgodnie z prośbą kienownika DMR-u i Rady Hotelowej — mieszkanie.

Cieszyłbym się niezmiernie, gdybym był w stanie wyliczyć więcej wypadków opieki, troski kierowników czy dyrekcji fabryk czy Zjednoczeń budowlanych o umożliwienie młodzieży wejścia w związki małżeńskie.

Niestety. W większości wypadków mamy do czynienia ze zjawiskiem wręcz odwrotnym. Niejednokrotnie bezholowie wśród naczelników prowadzą raczej do rozbicia rodzin niż do scementowania ich.

Specjalista M. dostał w maju urlop. Pospieszyle do Wrocławia, do swojej żony i dziecka. I po kilku dniach wrócił zamyłany do Hotelu. Trzy lata minęły odkąd mieszka w Hotelu warszawskim, z dala od domu. W ciągu tego czasu i dziecko się od niego oczwyczało, i żona przyczwyczała się do innego mężczyzny...

W Związku Radzieckim, gdy żonaty pracownik zostaje odkomenderowany do pracy w jakiejś innej okolicy, zapewnią mu się od razu mieszkanie i przenosi się całą rodzinę. U nas — nie. W Związku Radzieckim, gdy się buduje osiedle robotnicze (hoteli), od razu jedno piętro rezerwuje się dla młodych małżeństw. U nas — nie.

U nas za to bardzo się czują rozpucie młodzieży, zdziwają się dla czego sprawy miłości nie traktuje ona serio, dlaczego nie myśli o założeniu rodziny.

Pisząc o tym bolesnym temacie widzę przed sobą młodego tynkarskiego z ul. Anielewicz, który postanowił za wszelką cenę sprowadzić swoją żonę z Ogródowej do siebie (mieszkał razem z trzema starszymi chłopcami, którzy mimo posiadania gospodarki na wsi pracowali w mieście nawet w czasie siewu i żniwa). Ołóż pewnego dnia młodszą żonę przysłała i położyła się do prawego łóżka swego małżonka... Rzetelnie powstał niesamowity. Lamanie regulaminu? Cóż, że jest meżatka? Jeżeli wszystkie żony mieszkające w Hotelach zjechały przywieść do swoich mężów, co lat mieszkających w innych Hotelach, byłaby Sodoma i Gomora... Tak rozmawiała kierowniczka. Zaalarmowano Milicję.

Młody J. walczył o mieszkanie. Oświadczył, że gotów jest iść do więzienia, ale na swoich postawi. Jeśli ona mieszka w Hotelu i zajmie jedno łóżko, a on w drugim Hotelu drugie łóżko — to należy im się pokój, gdzie mogliby te łóżka obok siebie postawić. Może was taki sposób rozumowania zadziwi. Może niektórych naszych naczelników od spraw socjalno-bytowych i niektórych dyrektorów odpowiedzialnych Zjednoczeń przemysłowych takie „bezprawie” oburzy, ale ja, przyznając otwarcie, żędam się z energicznym robotnikiem J.

Należałoby wszystkim naszym dyrektorom, odpowiedzialnym za zapewnienie dachu nad głową robotnikom, zaproponować, by wstąpili do

warszawskiego Hotelu wieczorną porą i zobaczyli, jak to meżowie sieją skuleni na oknie koło portierni na Ogródowej i chlepczą z garnuszką strawę, którą im żony ugutowały; by zobaczyli, jak żony biegają bez tchu do Hotelu meżów, by im zanieść jedzenie, którego nie sądzono im w ciągu lat spożywać razem, po ludzku, przy stole. Może wówczas zrozumieliby dlaczego młode, fizycznie i moralnie zdrowe dziewczęta rezygnują z myśli o zamążpościu i godzą się często świadomie na dziecko pozamałżeńskie, by cać upust swoim macierzyńskim uczuciom, i dlaczego tak wiele młodzięcy obija pici tak mocno się zdeprawowało.

Powiedzmy sobie szczerze, że częstą przyczyną zła jest nasza beztroška, postawienie wielotysięcznej młodzieży pochodzenia wiejskiego w łosowiu. Daliśmy jej pracę, możność zarobkowania, dach nad głową, nieraz nawet luksusowe Hotele, wszystko co potrzebne dla ciała, ale o jej duszę nie zatrościliśmy się dostatecznie, o pozbywanie się przez nią nawyków i cech drobnomieszczańskich nie zadbalimy, a o tym by stworzyć jej warunki do założenia rodziny, zbyt często w ogóle zapominamy. I oto zdarza się, że chłopcy odpuszczają swoje dziewczęta kolegom, bo boją się przebywać przez dłuższy czas z jejną i tą samą, by w razie ciąży nie obarczyła sprawy odpowiedzialnością; skutek jest taki, że z kolei dziewczęta nie zawsze przyjmują ciążę jako katastrofę; a to prowadzi do rozbicia już istniejących rodzin. Trzeba pamiętać, że takich faktów jak że specjalista M. jest wola, przy tym nie zawsze żona rzuci męża, bywa i odwrotnie. Błagają się po korytarzach hoteli 28 — 30-letnie dziewczęta, rozgoryczone, nerwowe, zbolale, bo jedyną co je czeka to wymeldowanie i wykwatowanie z kąt, który zajmują, perspektyw zaś na własny kąt nie widzą żadnych. Przecież pracują już w mieście 6 do 8 lat.

A jak one tęsknią za własnym domem, rodziną, dzieckiem!

Cechą charakterystyczną naszego ustroju jest brak deklaracyjności. Jeżeli np. w konstytucjach burżuazyjnych są pięknie brzmiące artykuły bez wszelkiego pokrycia, u nas, gdy proklamowaliśmy „prawo do nauki” — od razu rozbudowaliśmy sieć szkół i wyższych uczelni; gdy mówiliśmy „prawo do pracy”, zaczęliśmy tak gigantyczną przebudowę i rozbudowę naszej ekonomiki, że raczej odczuwamy brak sił robotniczych niż ich nadmiar; gdy mówiliśmy o prawie do odpoczynku — rozbudowaliśmy sieć punktów wczasowych i świetlic przestęgamy urlopów. Szkoda, że nie uwzględniłmy dotąd „prawa do zakładania rodzin”, może wtedy przy budowie domów dla młodych robotników pamiętamybyśmy o odpowiedniej dyrekcji, że trzeba przynajmniej w każdym bloku uwzględnić jedno piętro dla młodych małżeństw. Póki nie uwzględnimy tej elementarnej rzeczy, wątpię, czy nasza walka z ciążą dziewcząt, z rozpustą, rokuje nadzieję na jakieś realne zwycięstwo. Jeśli w 19-letniej dziewczynie myśl o zamążpościu wywołuje śmiech — nie zawsze jest to wyrazem cynizmu czy ostatecznego zepsucia. Nie podobnego! Dla niej ewentualność taka jest nierealna, bo wie, że nie ma na to warunków.

Stwórzmy warunki do zamążpości, a ilość gorszących wypadków, nieślubnych dzieci spadnie do minimum, nawet w Nowej Hucie. Bo przecież i tam, w mieście młodzięży, zasadniczo nie uwzględniłmy tej tak elementarnej rzeczy!

Salomon Lastik

ZESZYTY TEORETYCZNO-POLITYCZNE Nr 8 (15) — sierpień

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazał się nowy numer Zeszytów Teoretyczno-Politycznych 8 (15) sierpień 1955 r. z przekładami najnowszymi artykułów z dziedziny filozofii, ekonomii, historii, budownictwa partyjnego, zagadnień międzynarodowych, opublikowanych w teoretycznych czasopiśmie ZSRR, krajów demokracji ludowej oraz w postępowych czasopiśmie krajów kapitalistycznych.

W numerze tym znajdują się następujące artykuły:
M. Suslov — Przemówienie na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR.
I. Erenburg — Przemówienie na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR.
D. Granin — Niespokojne duchy.
W. Kozłow — Przemówienie (Rozdział, którego nie ma w powieści „Zurbinowicz”).
W. Ulbricht — Zadania nauki i techniki.

A. Niesmiejajew — O zastosowaniu izotopów promieniotwórczych jako źródeł promieniowania.
Dr R. Pabst — Cuda radioelektroniki.
D. Aczkasow — Jednolita siła wysokiego napięcia.

J. Matoleś — Podwójne zadanie w dziedzinie rolnictwa.
Wang Ken-si — O tym, jak organizacja partyjna we wsł Kuczał przeprowadziła chłopom w ich przechodzeniu na socjalistyczną drogę rozwoju.
A. Kozin — Dni powszednie komitetu powiatowego.

M. Reimann — Oddziaływanie podstawowego ekonomicznego prawa współczesnego kapitalizmu na klasę robotniczą Niemiec zachodnich.
P. Togliatti — Z przemówienia na Plenum KC WPK.

O podniesienie ideowo-teoretycznego poziomu badań w zakresie historii filozofii.

R. Garaudy — Walka ideologiczna wśród intelektualistów.
R. Remortier — Myśl i działalność Alberta Einsteina.
A. Tondl — Uciśnienie ludzkiej osobowości.

W. Obruczew — List do młodych przyjaceli.
S. Kazakow — Co czytać o międzynarodowym wychowaniu mas pracujących.

H. Mielke — Problem napędu w technice rakietowej.
Prof. A. Sztternfeld — Paradoxy kosmonautyki.
Prof. A. Sztternfeld — Kosmiczne statki orbitalne.

Recenzje

G. Kawierin — W. Foster: „Naród murzyński w dziejach Ameryki”.

Na łamach czasopisma „Partijnaja Żiwn”

S. Bondarenko — O skromności kierownika i miłośnikach schlebiana.

Liczy i fakty

A. Denisow — Stogunki kulturalne Związku Radzieckiego z innymi krajami.
Prof. A. Wolochow — Duma radzieckiej nauki.
O współpracy gospodarczej krajów demokracji ludowej.

Bibliografia

„KSIĄŻKA I WIEDZA”



Śmierć prowincjonalna

(Dokończenie ze str. 4)

sentymalizm potrafi zemdlać na intelektualistę.

— Karol — wyjaśnił Jezierski — podkpiwał sobie z mojej żony, że wśród roślin kształci swoją arystokratyczną mizantropię. Ze hoduje rzadkie okazy kwiatów przeciw ludzkości.

— Lubiałam mój ogród.
— Pracujesz przecież i dziś w swoim ogródku działkowym — wtrącił optymistycznie pan Stanisław. — Możesz sobie i teraz na kwiaty pozwolić.

— Zaraz po reformie musiało być państwu ciężko?

Wiersz nuci czułości sielskie-anielskie, kolysze kłkliwości, najpierwsze, wyjęte ze wspomnień dzieciństwa. Ileż to wierszy napisano o szczęśliwym sielskim dzieciństwie — ale czy potrafiłby kto wskazać utworów wypływających w tak niewielu słowach aż tak delikatną czułość?

Jeśli przyjrzymy się obrazkom tej kołysanki, doszłżeśmy, że podobnie jak materia dźwiękowa utworu są one zestrojone na zasadzie aluzyjnych pokrewieństw i echałajnych odpowiedniości. Praczi — i deszcz i burza, ognisty kij — błyskawica i grający kij — ligawka, „zmyto błękit” i „spij dziecko niezabudek”. Szczególny efekt wywołuje wtrącenie w tok tych wyszukanie ładnych obrazków słownych — powiedzeń płożonych: „no spij”, „a pocóż to znasz”. Takie oto zwroty odpoetyczniają wyrafinowaną poetyczność obrazków — czynią z niej poezję. Przyczynia się do wywołania tego wrażenia prostoty i naturalności rytym niby kujawiacka, rytym niezwykłe gładki, zmienny, tancownie wdzięczny. „Ze wsi” nie jest jednakże utworem naśladowującym śpiewankę wsiotką; to co w nim przypomina pieśń ludową jest tak aluzyjne, tak przetworzone, jak coś z melodii kujawiaka w niektórych kompozycjach Chopina: wszyscy muzykolodzy dosłuchują się tego kujawiaka, lecz nikt nie potrafi go

— Było bardzo ciężko — odpowiedziała szybko pani Aniela, żeby nie dopuścić męża do głosu.

Żywa inteligencja i odciedziona pewność siebie zmuszały Jezierskiego do tuszowania klęsk osobistych. Tuszowania i przetwarzania na łatwiejsze gwoły ocalenia wartości życia.

Przed zmierzchem udali się na spacer po peryferiach miasta. Jan troskliwie i czujnie prowadzony przez Jezierskiego przekonał się, że to miasto kilku starych kościołów, miasto z ulicą główną reprezentującą smutny typ prowincji kongre-

O Józefie Czechowiczu

(Dokończenie ze str. 3)

Wskazać, dźwięczy w nich bowiem sam duch muzyczny kujawiacka. Jest to więc ludowość twórcza, mużna by też ją nazwać ludowością napomykaną artystycznie, aluzyjną.

Niesposób tu rozwijać przed oczami i uszami słuchaczy wszystkich finezji obrazowych i dźwiękowych (np. rymowania) tego wiersza-kołysanki. Wystarczy, żeby stwierdzić, że dzięki tym (i innym) właściwościom Czechowiczowska sielankowa rzetność jest swoista, tak niepodobna do wszelkich znanych idylliczności, że poznajemy jego melodię natychmiast. To właśnie świadczy o oryginalności nowości jego poezji i to czarowało i czaruje wielu młodych liryków, wiele mu zawdzięczających. Różewicz, który wyciągnął z dorobku „Awangardy” własne twórcze wnioski, wiele początkowo winien był Czechowiczowi. Bez jego przykładu nie powstałyby się np. na taką zewnętrznie cechę swoich wierszy jak brak interpunkcji i aluzyjności „obrazów poetyckich. Wielu młodszych jeszcze od Różewicza liryków wsłuchuje się teraz w „nutę czułości” cichego poety. To dlatego tak rozchwytało jego zebrane wiersze. Bo prawdziwa poezja, choćby tak skromna i cicha jak Czechowiczowska, ujdzie cała i z kłęk dziejowych i z opresji etapowych krytyków.

Julian Przytyk

KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA

„Takie czasy” w Kraju Nadmorskim

Żanowul Towarzystwo i Przyjaciele! Teatr miasta Woroszyłow powrócił niedawno z gościnnych występów obrazkowych w wielkim Kraju Nadmorskim. W repertuarze teatru znalazła się także komedia Jerzego Jurandota „Takie czasy”; teatr z wielkim sukcesem wystawił ją w najbardziej odległych miejscowościach Kraju Nadmorskiego — oddalonego około dziesięci tysięcy kilometrów od Polski.

Być może przyjaciele naszych — czytelników pisna poświęconego sprawom literatury i sztuki — zapytają, czy w tym wierszu Jerzego Jurandota — zainteresuje wiadomość o tym jeszcze jednym świadectwie naszej przyjaźni.

Założony program dostarczył Wam dodatkowych wiadomości o spektaklu, Selskam Wasze dionie

W. A. Kobielew
Reżyser Teatru Miasta Woroszyłow

ZA GRANICĄ

RECENZUJĄC KSIĄŻKĘ HENRY JAMESA „Boston-ki” — atakując na porządku

czu przesiółki i współczesności — przełożona ostatnio na francuski, François Mauriac zastanawia się na łamach „Le Figaro Littéraire” nad tym, czy prawdziwa teoria psychologiczna wzbogaciła twórczość literacką.

Seksualizm, który skutkiem teorii zawaładzał niepodzielnie powieścią i spowodował powstanie całej wędry w zakresie opisu scen miłosnych a także ujawniania istotnych przyczyn postępków bohaterów, należy uznać za zdobywcę czy też nie? Pisarz uzważa, że jest to rzecz do dyskusji. Jego zdaniem seksualizm wywiera na literaturę wpływ destruktywny, symplifikujący. (j)

★ JEDNYM Z NAJCIEKAWSZYCH FILMÓW PARTYZANCKICH jest, głęboko humanistyczny, pełen problemów moralnych i optymistycznych, mimo dramatycznej akcji, „Ostatni most” (Nagrada Selnika 1954, Cannes 1954), nakręcony w Jugosławii. Jest on owocem współpracy jugosłowiańsko-austriackiej. Dopiero teraz wszedł na większość ekranów europejskich. Jest to historia grupy partyzantów serbskich, działających w strefie zajętej przez Niemców, którzy aby zdobyć potrzebny im lekarz, obmyślają prosty a świetny plan i dzieki niemu porwują lekarza z niemieckiego szpitala wojskowego. Kobieta staje wobec dylematu: zdradzić obowiązki lekarza i odmówić pomocy ciężko chorym czy zdradzić ojczyznę przez ratowanie wrogów. Na tie tego problemu jest osnuty cały film, operujący z wielkim umiarem elementami psychologicznymi i historycznymi. (j)

★ SZTUKA NIEOBIEKTYWNA to oficjalna w Ameryce nazwa sztuki abstrakcyjnej, zajmującej do minujące miejsce w malarstwie Stanów Zjednoczonych. Do jej najwybitniejszych, żyjących w tym kraju przedstawicieli należą Mullaican, Bazioties i Tworokov. Ich twórczość „Art News” pokrótce w swym ostatnim numerze wielki artykuł, analizując stosowane metody pracy i podkreślające z szacunkiem trwałość, z jaka pozostała w szuible swego natchnienia.

Aby zilustrować stanowisko oficjalnej krytyki najlepiej zapoznać się z fragmentami tego artykułu: „Mullaican wpada kilkanaście razy w ciągu dnia do swojej pracowni, zanurza wielki pędzel, taki jakiego używają malarze pokłowi, do kuba z jaskółkowiem bądź farbą i przeciąga nim po płótnie, pozwalając im farba ściekać swobodnie w dół... By osiągnąć efekty bardziej oryginalne robi lakie pasy w różnych kierunkach. Zwraca przy tym szczególną uwagę na to, by przystępować do tej pracy bez jakiegokolwiek przywiązania do koloru, podobnie jak i działalność misjonarzy ograniczających się do tego, by wśród ludności żyjącej w niesłychanie prymitywnych warunkach zakonywać pojęcie i świadomość grzechu. Green udał się do Afryki by „cofnąć się do praprzyczyn wszystkich rzeczy, poznać strach, siłę i pierwotną wielkość duszy”. obarczył balastem własnych urzędniczych sądów. Przywiózł też ze sobą skutkiem tego szereg fałszywych wyobrażeń o życiu narodów Afryki. (j)

★ W PARYSKIEJ „OPERA COMIQUE” wystawiono po raz pierwszy we Francji „Eusebiusza Oniegina” Czajkowskiego. (j)

swia chorym. W czasie tej wyprawy ginie. (j)

★ POD TYTUŁEM „Baladas y Canciones del Parana” ukazała się w Buenos Aires najnowsza książka poety hiszpańskiego na wygnaniu.

— Albertiego. Jego rozprawy o malarstwie i wyborze poezji „Ora maritima” (1953) zostały wielkie uznaniem krytyki. (j)

★ ZA NAJWIEKSZĄ WSPÓŁCZESNIE ŻYJĄCĄ AKTORKE, godną spadkobierczynię talentu Eleonory Duse uważa się powszechnie młodą Angielkę Peggy Ashcroft, której nikt nie przeczy twierdzeniu i niezbity piękna twarz nie obiecuje widzowi zbyt wiele. A jednak — jak piszą parycy sprawozdawcy — już po kilku minutach na scenie odczuwa się wpływ tej wielkiej indywidualności. Bogactwo wewnętrzznego życia, ruchy, zniewola, niezapomniana intonacja głosu, wrażliwość i opowanie — to elementy oddziaływania na widownię, porównania jej. Tego roku Ashcroft występowwała w „Wiele hałasu o nic” i „Królu Learze” na festiwalach w Wiedniu, Zurichu, Amsterdamie, Rotterdamie. Będzie grała w Berlinie, Kopenhadze, Hanowerze, Oslo, Bremie, Hamburgu. (j)

★ „PODRÓŻ BEZ MAPY” odbył Graham Greene przed wojną na piechotę przez lasy Liberii. Opowieść o wyprawie jest ciekawa ze względu na uwagi i informacje dotyczące „cywilizacji zachodniej”, która autorem, który podobał się nie jak i działalność misjonarzy ograniczających się do tego, by wśród ludności żyjącej w niesłychanie prymitywnych warunkach zakonywać pojęcie i świadomość grzechu. Green udał się do Afryki by „cofnąć się do praprzyczyn wszystkich rzeczy, poznać strach, siłę i pierwotną wielkość duszy”. obarczył balastem własnych urzędniczych sądów. Przywiózł też ze sobą skutkiem tego szereg fałszywych wyobrażeń o życiu narodów Afryki. (j)

★ „PODRÓŻ BEZ MAPY” odbył Graham Greene przed wojną na piechotę przez lasy Liberii. Opowieść o wyprawie jest ciekawa ze względu na uwagi i informacje dotyczące „cywilizacji zachodniej”, która autorem, który podobał się nie jak i działalność misjonarzy ograniczających się do tego, by wśród ludności żyjącej w niesłychanie prymitywnych warunkach zakonywać pojęcie i świadomość grzechu. Green udał się do Afryki by „cofnąć się do praprzyczyn wszystkich rzeczy, poznać strach, siłę i pierwotną wielkość duszy”. obarczył balastem własnych urzędniczych sądów. Przywiózł też ze sobą skutkiem tego szereg fałszywych wyobrażeń o życiu narodów Afryki. (j)

★ W PARYSKIEJ „OPERA COMIQUE” wystawiono po raz pierwszy we Francji „Eusebiusza Oniegina” Czajkowskiego. (j)

sowej. miasto nigdy nie najbiedniejsze, ale przysłówowo ordynarne — rozwijało się w planowy sposób, usuwając ze swych krańców ślady odrzucającej nędzy. Na terenie, które wydały się Janowi szczególnie ponure, znajdowała się wielka reżnia, a u jej wrót kilka kobiet w ubogich chustkach oczekiwało na odruch niedozwolonej lecz funkcjonującej litości... Jezierski wskazał nerwowo drugą stronę ulicy, gdzie wśród ładnie falującej się powierzchni zaczęto organizować park miejski. Przeszli jeszcze szmat drogi wśród nowych domów i ulic. Pan Stanisław tłumaczył zasadę rozwoju sektorów przemysłowych. W mieście rosła szybko produkcja przetworów mięsnych, garbarstwo, galanteria skórzana, fabrykacja butów. Długo chodzili, Jan zmęczył się.

Na kolację podano domowym sposobem potrawy odgrzewane, z obiadu. I znowu trzy nalewki do wyboru.

Jan wrócił do hotelu późno. Kuzynka nie zareagowała na jego kartkę, zostawioną w drzwiach. Czyżby jeszcze nie wróciła z podróży służbowej do Starachowic? Jutro po południu trzeba jechać dalej. Trudno, czas w obcym mieście został wyczerpany nie tak, jak Jan projektował. Na górze pokojowa powiedziała Janowi, że dopytywał się o niego dyrektor z sąsiedniego pokoju. W pierwszym odruchu Jan chciał tam pójść, ale zreflektował się. Na pewno już śpi.

Leżąc w łóżku, Jan wyrzucał sobie, że dwa razy w ciągu dnia pił alkohol. Przypomniał mu się rozmowa z dyrektorem Kayakiem. Czego mógł chcieć od niego przypadkowo poznany sąsiad hotelowy? Pewnie tylko tak, żeby przed snem, po dniu pracy pogawędzić. I to ważne dla człowieka samotnego. Jan, kiedy usypiał, doznał uczucia, że nie spełnił jakiegos obowiązku, że coś zaniedbał.

I obudził się z tym samym niejasnym wrażeniem. Spał snem twardym, bez marzeń, ale zbudził się wcześniej niż zamierzał. W suficie znowu brzęczał mechaniczny, tajemniczy ton: irytujące głupestwo, które aż tak trzeba honorować. Za ścianą panował już zwywy ruch. Ktoś wchodził, wychodził. Kogoś wynoszono. Wtedy poczuł lęk. Do tego stopnia, że nie chciał wstać z łóżka, żeby dowiedzieć się prawdy. Próbował znowu drzemać, bo za ścianą wszystko ucichło. Ale nie udawało się.

Weszła pokojowa i dosyć głupim zwyczajem spytała, czy gość opuszcza hotel przed nową dobą.

— Nie. Coście tam rano tak hałasowali na korytarzu?

— Na korytarzu? To obok. Umarł nagle ten dyrektor, który się zawsze u nas zatrzymywał.

— Umarł?!

— Przecież mówię. Chociaż takich rzeczy pokojowa nie powinna gościom donosić. Był lekarz. Stwierdził, że nie ma podjęrżeń. Serce. Dlatego mówię... To znaczy, pan dzisiaj nie wyjdzie?

— Nie, jeszcze dzisiaj nie wyjadę.

Pokojowa wyszła.

Jan był od razu pewien, że nie wyjdzie tego dnia po południu. Wyglądałoby to na ucieczkę przed wyrzutami. Może gdyby się wczoraj wieczorem spotkał?

— Chyba nie o to chodzi — myślał. — Jeśli los zaplanował inaczej, trzeba ten plan wyczerpać do końca.

Ubrał się szybko.

Kuzynka wróciła wreszcie. Odproawdził ją do biura, opowiedział, jak spędzał bez niej czas. Joanna znalazła dyrektora Kayaka; przyjechał do ich fabryki. Zmarła się tą śmiercią inaczej niż Jan. Zmarła się sposobem dobrej kobiety z prowincji, która żaluje wszystkiego, co odchodzi.

Dyrektor Kayak miał pogrzeb bardzo przyzwoity. Trumna stała w kaplicy cmentarnej, gęsto otoczona zielenią. Duże, strzępiaste liście palm sięgały do sufitu. Ksiądz odprawił solenne egzekwie. Zwłoki w mocnej, dębowej trumnie nieśli na zmianę z żołnierzami urzędniczymi, w którym zmarły odbywał kontrolę przed kilku dniami.

Jan szedł w niewielkiej grupie obok kuzynki; w pewnej chwili przyłączył się do nich Jezierski. Zaczęło padać.

— Ten deszcz — powiedział dziennikarz — czyni ceremonię jeszcze bardziej prowincjonalną. Spójrzcie państwo, ile starych parasoli!

Delegat ministerstwa wygłosił krótkie przemówienie.

— Byłem na pogrzebie Zeromskiego i Reymonta — rozpoczął Jezierski.

Ale Joanna szepnęła:

— Cicho... Wpuszczano trumnę w wykopany dół, powoli.

— Skąd się wziął na tym pogrzebie? — myślał Jan, kiedy szli już w stronę bramy.

— Niech pan spojrzy, to zupełnie przypomina film francuski! Trzeba by pomyśleć o unowocześnieniu naszych pogrzebów. — Zastanowił się pozytywnie pan Stanisław.

Parasole podrygiwały już wśród normalnego życia. Dzień zapadał w jeszcze jeden wesołniony wieczór.

Stefan Olwinowski

Nowe książki

BERNARD KELLERMANN „9 LISTOPADA”. „CZYTELNIK” 1955. TŁUMACZYŁA TERESA JETKIEWICZ. POSŁOWIE MARCELEGO RANICKIEGO.

Pierwsze powieści Bernarda Kellermanna „Yester i Li” oraz „Ingeborg” (1916) powitało mieszczańskie Niemiec z zachwytem. Te — ja! je autor nazywał — „powieści liryczne”, które przenosiły czytelnika w wyidealizowany, piękny, a — czerwony — rzeczywistości świat, ujawniały już pewne trwałe wartości pisarstwa Kellermanna będąc równocześnie wyrazem protestu przeciwko porządkowi społecznemu wilhelmskich Niemiec.

Dalsze utwory: „Głupiec” i „Morze” poruszają już problematykę współczesną. W r. 1913 zaś powstaje w pełnym znaczeniu tego słowa powieść realistyczna „Tunel”, która uczyniła autora sławnym nie tylko w Niemczech, ale i poza granicami własnego kraju. Ta przełożona na 25 języków i kilkakrotnie filmowana historia fantastycznego tunelu łączącego pod Oceanem Atlantykiem wschodnią i zachodnią półkulę przy utopijności pomysłu fabularnego — ukazuje ludzi i stosunki typowe dla okresu, w którym powstała, zawiera ostrą i cenną krytykę świata kapitalistycznego. Elementy satyryczne i ton oskarżycielski tej książki nie były wynikiem jakiegś świadomego postawy światopoglądowej Kellermanna. Jeszcze jego reportaż wojenny z początków pierwszej wojny światowej miały akcenty nacjonalistyczne. Dokumentem przełomu pisarza jest powieść „9 listopada”, która ukazała się w 1920 roku. Demaskuje w niej autor z bezlitosną pasją arystokrację niemiecką, szczególnie pruską kastę oficerską z jej brutalnością, pychą, ograniczeniem, pogardą dla ludu i żądzą władzy. General Hecht-Babenberg — przedstawiciel tego środowiska jest jednak w tej powieści postacią o wiele bardziej przekonywującą niż mający reprezentować niemieckie siły rewolucyjne student i żołnierz Ackermann. Jego poglądom brak jasnej, sprecyzowanej koncepcji ideowej. Powieść „9 listopada” spłoneła wraz z innymi wybitnymi dziełami na stosie wzniesionym przez hitlerowców na Placu Opery. Ostatnią powieścią autora „Tunel” jest „Taniec umarłych” (1948 r.), zaś ostatnią pracą pisarza, który zmarł 17 października 1951 roku — odedwa „Do pisarzy na zachodzie Niemiec” nawołująca do walki o zjednoczone demokratyczne Niemcy.

ANNA KOWALSKA „OPOWIEŚCI WROCŁAWSKIE”. PIW 1955, CENA ZŁ. 15.00.

Na tom „Opowieści wrocławskie” składają się: znana czytelnikom „Uliczka klaszorna”, „Wielka próba”, i po raz pierwszy ukazujące się „Notatki wrocławskie”. Tematem wszystkich trzech utworów jest Wrocław z pierwszych lat po wojnie, aczkolwiek wątek fabularny w każdym z nich jest inny — Kiedy przygotowując niniejszy tom czytałem stronicie napisane przed czterema laty, przed sześciu, a zwłaszcza te sprzed ośmiu lat, uderzyło mnie, jak bardzo jest już odległy okres naszego zagospodarowywania się na Dolnym Śląsku. Ileśmy to zdawali zapomnieć, przewyrczyć, ileśmy się nauczyli! Inni opisz Wrocław wielkich zagadnień, wielkich bohaterów. Jest to temat zbyt kuszący, by nie znalazł swego autora. Nie mam „głowy epickiej” — pisze autorka. — Przedstawił Wrocław przedmiesz i spraw najcodzienniejszych, taki bowiem Wrocław pokochałam. Wiele można zebrać tu utworom zarzucić, oprócz braku szczerości — tak mi się przynajmniej wydaje.

„DOM NAD ODRĄ” ALMANACH LITERACKI. Szczecin 1955. Wydano nakładem Zarządu Wojewódzkiego ZMP.

Almanach literacki redagowany przez Ryszarda Liskowackiego, Józefa Bursewicza i Tadeusza Wojciechowskiego jest jakby podsumowaniem czteroletniej pracy szcze-

cińskiego Kola Młodych w którym młodzież — jak pisze we wstępie Ireneusz Guidon Kamiński — na skutek braku uczelni typu humanistycznego i niedostatecznej pomocy doświadczonych pisarzy rozwija się wolniej, niż w innych ośrodkach, ale — stale. Członkowie kola drukują swe wiersze w „Głosie Szczecińskim”, „Kurierze Szczecińskim”, publikują w lokalnej rozgłośni, a także na łamach prasy literackiej i w wydawnym w ubiegłym roku almanachu kół młodych.

W „Domu nad Odrą” znajdują się utwory młodych poetów: E. Balcerzana, E. Biedka, J. Bursewicza, T. Chudego, A. Dzierżanowskiego, R. Grabowskiego, L. Kamińskiego, K. Kijowskiego, R. Liskowackiego, T. Madeja, A. Mikolajewskiego, H. Piotrowskiego oraz Tadeusza i Władysława Wojciechowskich. W dziale prozy zamieszczono opowiadania Zygmunta Beera, St. Daukszy, A. Dzierżanowskiego, K. Suchodolskiej i Wacława Wiktorskiego. Trzecia część zbioru zawiera prace przekładowe. „Utwory zamieszczone w almanachu „Domu nad Odrą” mają wspólną cechę — czytamy w przedmowie. — Łączy je umiowanie naszego życia i ziemi szczecińskiej. Proza szuka tematów w codziennym życiu miasta i wsi naszego regionu, próbuje pokazać wyrastanie ludzi w trudnych pierwszych latach po wojnie, sygnalizuje konflikty lat późniejszych”.

HELENA ZAWORSKA „OTWÓRCZOSCI IGORA NEWERLEGO”. PIW 1955, cena zł 1,70.

Seria IBF-owska „Studia nad polską literaturą współczesną” redagowana przez R. Matuszewskiego wzbogaciła się o nowy tomik poświęcony twórcy „Pamiętki z celulozy”. Autorka rozpoczyna swą pracę od uwag ogólnych, mających na celu „wyznaczenie należnego miejsca twórczości Newerlego na powojennej mapie literackiej”. Odkrywczość „Pamiętki z Celulozy” widzi w tym, że „autor ukazuje specyfikę pewnego okresu nie w jednym, ale w wielu przejawach życia, że zawiera w nim cechy i doświadczenia, które kształtowały się i nawastrzały w latach walki proletariatu”. Szczegółowa analiza tej prozy prowadzi autorkę do wniosku, że Newerly sięgając po tradycję narodowych doświadczeń, stworzył typ bohatera ludowego, którego kreacja stanowi nowe przedłużenie znanych nam ludowych bohaterów naszej literatury klasycznej. Ostatnią część pracy poświęca autorka sprawie języka i stylu Newerlego, podkreśla jego bogactwo i rozmaitość wskazując na źródła tkwiące w nieprzebranych zasobach języka ludowego.

FRYDERYK SCHILLER. DZIEŁA WYBRANE, PIW 1955, cena t. I/III zł 73,40.

Wybór dzieł Schillera poprzedzony obszernym monograficznym wstępem i opatrzone przypisami przez Adolfa Sowińskiego jest naprawdą pod każdym względem piękną edycją. Trwała płócienna okładka, winitety tytułowe Andrzeja Heidricha, portrety, rysunki i sztychy w tekście i wreszcie piękny, rzadki nawet w naszych luksusowych wydaniach papier usprawniający wydanie wysoką cenę „Dzieł wybranych”. Co znajdzie czytelnik w tych trzech tomach liczących w sumie ponad 1300 stron? — Ballady, wiersze różne, ksenie, i epigramy, a spośród utworów dramatycznych: „Zbójców” (tłumaczył M. Budzyński), „Intryga i miłość” (tłumaczył Artur Maria Swinarski), „Don Karlos” (w przekładzie K. Gałczyńskiego), „Wallenstein”, „Dziwice Orleańska”, „Wilhelma Tella”, „Dymitra” i „Listy”.

O pietymie, z jakim przystąpili edytorzy do wydania genialnego niemieckiego poety, świadczy staranny dobór przekładów. Wśród nazwisk tłumaczy znajdujemy nazwiska najwybitniejszych poetów ubiegłego stulecia i współczesnych.

K. Nast.

BALWANT GARGI

Hinduski teatr chłopski



Scena z „Ramayany”.

Bęben bije staccato. Brzęczą sarangi zagluszane przez piskliwe głosy dwóch chłopców. Znikł gdzieś zwykły spokój wsi. „Teatr ludowy!” Słychać gwar głosów kobiecych. Mężczyźni rzucali swe hookan. „Ach! Sławni dobosz Natanki!” Mężczyźni, kobiety, dzieci — wszystko pędzi na plac pośrodku wsi. W migocącym świetle pochodni rozpoczyna się przedstawienie — baśń średniowieczna.

Mieszkańcy wsi sadowią się naokoło wysokiej estrady. Zespół składa się ze starszego mężczyzny, jego żony, synów i siostrzeńców. Dwóch z nich tworzy orkiestrę; jeden bije dwoma drążkami w mały wkłęsty bęben, siedząc w kuciki jak małpa i kiwając głową; drugi sunie smyczkiem po stu strunach sarangi — starożytnego instrumentu — wyczarowując z niego dźwięki całej orkiestry. Odgrywa on najważniejszą rolę w zespole. Jest dyrektorem, reżyserem, sufletem, on kieruje rytmem i tempem sztuki.

Treść sztuki znana jest każdemu. Aktorzy mówią ją wierszem, przerywanym pieśniami. Język — to miejscowy dialekt, a melodie to proste piosenki ludowe. Temat zaczerpnięty z mitologii, historii lub legend o rycerzach, czasami o jakimś miejscowym „Robin Hoodzie”, lub bohaterze narodowym. Role kobiece grają młodzi chłopcy o piskliwych głosach. Po odegraniu swej partii aktorzy siadają na brzegu estrady, gawędzą z publicznością, palą, lub żują liście betelu, czekając aż znowu przyjdzie na nich kolej. Nawet zmiana kostiumów i charakterystyka odbywają się na scenie, na oczach publiczności. Aktor przerywa często grę i zwraca się do widzów, prosząc o liście betelu do żucia, lub by pozwolono mu zaciągnąć się dymem z hookah. Wypuszczając kłęby dymu tytoniowego, lub strumień czerwonej od betelu śliny, powraca do swej roli. Publiczność jest tak pochłonięta sztuką, że nie zwraca uwagi na te przerwy i nie przeszkadza jej to w śledzeniu akcji.

Tak samo, jak teatr chiński, hinduski teatr ludowy nie usiłuje stworzyć złudzenia rzeczywistości. Daje widzom w zamian swój własny świat. Jego nieskomplikowane konwencje są przez wszystkich rozumiane. W przeciwieństwie do dramatu choreograficznego „Kathakali” — jednego z czterech klasycznych tańców ze skomplikowaną i surową wymową gestów, teatr ludowy posługuje się żywą akcją, śpiewem i dialektem regionalnym, którego głośność pozwala na improwizację i aktualne wstawki.

Teatr chłopski w Indiach ma swą nieodłączną postać — błązna — który komentuje treść sztuki. Prototypem tej postaci w starych dramatach sanskryckich jest „Vicoos-hak”, błązna nadworny, znający go też w sztukach Szekspira. Ma on pewne prerogatywy. Może wyśmiewać nawet najwyższe osobistości. Jak karykaturzysta chłopsze satyrę i rzuca snop światła na przywary ludzkie.

Aktorzy mówią swe role wierszem, błązna zaś prozą, improwizując satyryczne uwagi o miejscowych dygnitarzach, piętnując zło i niesprawiedliwość, wyciągając na światło dzienne obchodzące miejscową ludność sprawy. Ulubionym celem kpín jest lichwiarz, obszar-nik i skorumpowany policjant. Ta zdolność tworzenia na poczekaniu dowcipów jest dziedziczna, przechodzi z pokolenia na pokolenie i błąza staje się uosobieniem dowcipu całego ludu. W swych pełnych humoru kpinach potrafi on, jak u Swifta lub Shawa, zdruzgotać swą ofiarę jednym zdaniem. Dowcip jego może zarówno podważyć godność króla, jak zdyskredytować lichwiarza. Jakiś szczególnie ostry i udany żart wywołuje wśród publiczności wybuchy śmiechu, okrzyki i deszcz monet rzuconych na estradę. Jeśli zespół zapraszany jest na występ na dworze księcia lub obszarnika i są oni obecni na przedstawieniu, błąza zazwyczaj prosi o przebaczenie zanim zaczyna chłostać ich swymi kpinami. Zaden teatr na świecie nie ma tak żywego kontaktu z publicznością, jak teatr ludowy i zawdzięcza to

głównie błązowi, który wypowiada ukryte myśli widzów. Śpiew, muzyka, proza, przejścia od poetyckich wstępu do przyziemnego realizmu — to wszystko tworzy czar teatru ludowego.

Ludność wsi dostarcza aktorom teatru ludowego pomieszczeń i żywności. Otrzymują też pewną sumę pieniędzy, zbieraną wśród mieszkańców, przy czym każdy płaci tyle, ile może. Wysokość ogólnej sumy zbieranej przez wójta zależy od powodzenia, jakim cieszyła się sztuka. Poza tym w czasie przedstawienia publiczność wyraża swój zachwyt datkami pieniężnymi, za które aktor grający na sarangi dziękuje głębokim ukłonem i głośno wychwala ofiarodawcę wymieniając jego nazwisko w rymowanym kupiecie.

Teatr ludowy jest starszy od dramatu sanskryckiego, znanego od dwóch tysięcy lat. Dramat sanskrycki był teatrem możnowładców, używał górnolotnego języka, obcego dla ludu, który mówi dialektem Prakrit lub innymi dialektami. Dramat sanskrycki nie zagłębiał się w życie całego narodu, jak czynił to dramat grecki, lub szekspirow-

JERZY IITWINIUK MAROKO I ALGIER

Słońce w krwawych wypiekach
zasnuło bitewnym kurzem.
Niecierpliwi nie mogą czekać
ani minuty dłużej.

Jeszcze raz próba Legii,
jeszcze raz kolonialna.
Winę ponoszają polegli.
Wołali — Allah i Allah.

Dobroczynca buduje koszary,
miedziaki w tłumie rozdziela,
za franki,
za delary
kupuje miłość w burdelach.

Rośnijcie, mnożcie się w cieniu
pomników i blaszanek.
Nad wami życzliwy geniusz —
fédésjełkowy marszałek.

Mówią językiem wilczym,
nie unikną powtórzeń,
nie cofną się przed niczym:
Każdą w miniaturze.

Salwą skoszona palma,
w niebie stalowy cherub.
Czy to Kutno Berberów,
czy próba generalna?

A może z bólu i głodu
wstaje ognisty hamis?
Parlamentarny łobuz
zakrzęsił się własnym kłamstwem?

Jeszcze spluwacie ołowiem,
jeszcze jesteście bogaci —
kto będzie płacił, panowie?
Kto będzie płacił?

Warszawa, 26. VIII. 1955

UWAGA!

UWAGA!

Ukazał się już pierwszy numer
„poprosto”

TYGODNIKA STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

w numerze:

1. Jerzy Cwiertnia — O artystycznej konieczności i o tym kogo nie trzeba tam „gdzie rodzi się sztuka
2. Lech Emfazy Stefański — Zielony pies
3. Witold Dąbrowski — Wiersze
4. Janusz Kuczyński — O niektórych pomyłkach Zygmunta Lichniaka
5. Jan Kraft — Sprawozdanie niezwykajne
6. Jerzy Kossak — Czy tylko oportunizm
7. Krzysztof Pomian — Śmierć Niedźwiedziom.

Do nabycia w kioskach „Ruchu”. Stale otrzymywanie pisma zapewni sobie tylko przez prenumeratę pocztową.

Redakcja: Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 886-11, 824-11. — Red. naczelny 879-38. Adres administracji, Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 853-30. Wydanie RSW „Prasa” Kolportaż PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Siebna 12, tel. 804-20 do 25. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następny, warunki prenumeraty pocztowej miesięcznie 4,60 zł, kwart. 13,80 zł, półroc. 27,60 zł, rocznie 55,20 zł. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111 5689, tel. 23-09. Rekop. niezamów. redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Włókielnicze RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 3/5

Zam. 1869. B-6-0679